

Jókai Mór

OCEANIA

Historia Świata Zaginionego

I.

Wielki filozof klasycznej Grecji, Platon, wspomina w swoich pismach o osobnej części świata, której historycy i geografowie szukali gdzieś na morzu między wyspą Świętej Heleny i brzegami Afryki. Poeci i filozofowie nazywali ją w starożytności Atlantyda, Oceanią, Szczęśliwymi wyspami, Ziemią hyperborejską. Jeszcze wówczas ziemia była bóstwem i budowano dla niej ołtarze; jeszcze wówczas nie doszli ludzie do tej wiedzy, że ziemia jest tylko drobnym atomem wobec wielkiej kuli słońca, które ją w przestrzeniach niebieskich w równowadze utrzymuje i pcha naprzód. Nie wiedzieli, że ziemię można wymierzyć, granice jej oznaczyć, odgadnąć z jakąd powstała, gdzie stoi, dokąd biegnie. Jeszcze wówczas ziemia była bóstwem: tak była nieskończona, tak bezgraniczna, tak niezmierna jak ono a słońce i gwiazdy były jej sługami. Nad ziemią było niebo, pod ziemią był Styks, a na ziemi samej ludzie, przerażeni

ogromem obudwu. Nikt nie wiedział, jakim sposobem z tych
błękitów wysokich,
przez atmosferę powietrzną, przyplęwa do nas promień słońca
i że tam na
wysokościach tak jest zimno, jakby tam bogów nie było i że
ziemia jest tylko
cienką skorupą kuli, w której wnętrzu szatani palą wieczny
ogień i burzą spokój
jej powierzchni.
Ziemia była wówczas wolną równiną; poeta mógł wyobrazić
sobie po za zimnemi
krajami nowe części świata, gdzie

żyli ludzie inni, z kąd pochodziły cuda a wyobrażenia te
zmieniały się stosownie
do fantazyi ludu.
Jakże wspaniały widok przedstawiał się duszy poety! Na trzy
tysiące lat przedtem
żyły duchy poetyczne u dwojga wrót znanego świata
starożytności. Pierwszy na
wysokim północo-wschodzie żył na śnieżnych wierzchołkach
Atlasu i odgraniczał
ludy ówczesne od nieznanych przestrzeni. Za tym łańcuchem
gór huczały walki
synów Goga i Magoga, których zaborca Aleksander Wielki
oderwał od świata
żelaznemi wroty a którzy później wciąż łamali góry,
podrywali wyspy, kopali
drogi podziemne, aby się od kajdan uwolnić. Biada światu,
biada tym, którzy żyli

wtedy, gdy odkryli drogę przez lesisty Imaus i gdy stanęli
wobec twarzy
kosmatych, wobec czaszek kwadratowych, wobec nieznanej
mowy, oręża i ubiorów;
gdy otoczyli ziemię z końca w koniec, jak olbrzymia ręka
potężnego ducha, który
nappełnił te puste przestrzenie groźnemi ludy, wspaniałemi
miastami, bohaterami i
królami i nagle zburzył to wszystko, aby inne malować
obrazy.

Na drugim końcu ziemi, na ciepłym południo-zachodzie, gdzie
fantastyczne
widziadła kąpią się w błękitnych lustrach wód morskich, tam
marzył poeta
szczęśliwszy świat, gdzie niebo i ziemia w słodkim
spoczywają uścisku, gdzie
powietrze wolniejsze, miłość słodsza, mąż odważniejszy,
kobieta wierniejsza;
gdzie blaski są bez cieniów, gdzie radości bez smutków, gdzie
kwiaty nie więdną,
gdzie wszystko wiecznie młode: trawa i drzewo i serce
ludzkie.

Zadziwiająco piękne były te ułudne obrazy narodów
starożytnych, które ze
wstrętem i strachem, ciemnymi, ponuremi barwy malowały
północ, a na nieznanem
południu oczekiwały ziszczenia niedościgłych nadziei i tam
słali swe mary i
westchnienia.

W owym czasie, kiedy powstający Rzym zaczynał być panem tej części świata, którą ówczesni geografowie zwali ziemią znaną, — drugie młode miasto powstało nad brzegami morza; a powstało ono prawie naprzeciw tego wielkiego buta, który się zowie Italią, który tak wielką rolę miał w świecie odegrać i który nowe to miasto miał zdeptać.

Nowe miasto świata wyrosło z ziemi również szybko jak Roma. Jeszcze żyła legenda o pięknej założycielce miasta, Dydonie, która kupiła od obcego króla taką miarę tej ziemi, iaką skóra wołu. obejmie i pokrajawszy ją na cienkie pasy, otoczyła nią nabyty grunt i wnet stała się panią krajów i mórz okolicznych i stworzyłaby pewnie miasto największe na świecie, gdyby na nim Romy nie było. Dwa główne punkty nie mogą być na świecie, około dwóch osi nie może się obracać ziemia.

Imię młodego miasta była Kartagina. Trzysta trzydzieści lat liczyła Kartago od swego założenia, co podług rachuby naszej, wyjdzie na lat pięćset pięćdziesiąt przed narodzeniem Chrystusa, — gdy miał miejsce w Kartaginie wypadek następujący.

Pewien wódz okrętu handlowego, który często opływał brzegi Afryki i długie lata już od ojczyzny był oddalony, tak, że za umarłego był uważany i żona jego za mąż

wyszła a miejsce jego inni zajęli — zjawił się nagle, gdy go nikt nieoczekiwał,
w porcie rodzinnego miasta, w porcie najbogatszym na świecie, jakim nie był
nawet Tyr, najstarożytniejsze miasto handlowe.
Żeglarza tego zwano Hannonem a imię jego wnet rozbrzmiało po całym mieście i
każdy ze drzeniem dowiadywał się, że powrócił Hanno, którego tak długo za
umarłego mieli.

A przywoził ze sobą skarby i drogie kamienie, o jakich nikt nawet we śnie nie
marzył.

Był zwyczaj u ludu kartagińskiego, że kupcy, którzy w dalekich ziemiach bywali,
zaznaczali na marmurowych tablicach czas i przygody swej podróży i tablice owe
zamieszczali w świątyni Kronosa, w bliskości Byrsy, świątyni boga czasu; gdyż
wówczas już kartagińczycy wiedzieli, że czas to największy skarb, że czas to
pieniądz.

Tablice Hannona stały już na ołtarzu Kronosa. Ale nie wolno było tłumowi tych
tablic oglądać, tylko starym doradzcom, siwym senatorom, którzy mądrze i uczenie
obliczali z tego, jaką korzyść państwo na tem odnieść może. Gdy już tablice Hannona stały przed ołtarzem, nazajutrz wezwał go-starosta do

swego domu, który zbudował na małej wysepce, między
dwoma portami miast,
naprzeciw wrót słoniowych.
Kartago miała wówczas sześćdziesiąt dwie bramy i
pięćdziesiąt tysięcy sześciuset
mieszkańców; trzydzieści murów ochronnych otaczało
półkolem miasto nad brzegiem
morza, kopuły pałaców lśniły od złota a nad dworcami unosiły
się szczyty
świątyń, których ściany były z czarnego marmuru, kolumny z
alabastru, kapitele
słupów ze srebra, a na dachu złoty bocian o czterech srebrnych
skrzydłach.
Kiedy Hannon archont jeden prowadził przez krwawy most,
lśniący od żywicy,
którą był wysmarowany, stanęli wpośrodku pod kolumną
Baaltis i spojrzeli przed
siebie. na imponujące ulice miasta, na place obszerne, któremi
przebiegały tłumy
pracowitego ludu. Całe stado słoni prowadzono w drogę a na
potężnych ich
grzbietach leżały paki olbrzymie i stały śmiałe wieżyce.
— Spójrz, Hannonie! Czyś widział w twych dale kich
podróżach miasto lepiej
zabudowane, więcej zaludnione ?
— Widziałem większe — odrzekł marynarz.

— Czy nie czułbyś boleści, gdyby się te pałace rozpadły w
ruinę i gdyby zamiast
tłumów ludu, zamieszkały tu Wężę i nietoperze i gdyby
przyszędł tu jaki obcy

człowiek, nieznający imienia Kartaginy i zapytał: Cóż to jest?
któż co wie o
tera?

— Pewnie, byłaby to szkoda.

— A gdyby tak powiedział: Oto było tu niegdyś miasto,
władające połową świata,
miasto, którego upadek zaczyna się od chwili, - gdy powrócił
doń z dalekiej
podróży żeglarz, zwany Haunonem. Czy i wtedy byś go
żałował?

— Niech Astarte zachowa mnie od tego, niech wszyscy
bogowie mnie bronią.

— Zatem zważaj na usta twoje, abyś wiedział, co przed radą
masz mówić.

Wkrótce byli w senacie. Starsi miasta siedzieli pod ścianami, a
najstarszy

senator, Hiercos, z siwą, po pas długą urodą, trzymał w
ramionach wielkie

marmurowe tablice, na których Hannon czyny swoje opisał.

— Hannonie! — rzekł najstarszy do marynarza — długo byłeś
w dali od ojczyzny,
czekaliśmy cię i nie wracałeś.

Tutaj jest twój pałac, tu skarby twoje, twój bogaty ogród, moja
ojcowizna, tu

twoja piękna żona, twoje miłe niewolnice, jednak tyś umiał
być tak długi czas w

oddali. Czy prawdą jest to, coś na tych marmurowych
tablicach napisał?

— Prawdą jest, nie wymysłem.

— Czy prawdą jest, że pchnięty burzą ku południowi, kryłeś
część świata większą,

niż wszystkie znane dotąd części świata razem?

— Takem napisał, tak jest.

— Czy prawdą jest, że tam zima tak ciepła jak u nas wiosna,
trawa tak wysoka jak

u nas drzewo, zwierzę tak rozumne jak u nas człowiek?

— Zaprawdę, tak.

— Czy prawdą jest, że tam kobieta piękniejsza, mąż od-

ważniejszy niż u nas, że tam powietrze samo uzdrawia
chołnikom daje siłę,

tchórzom mężstwo, brzydkim piękność;

— Tak powiedziałem.

— Czy prawdą jest, że ziemia tam złotym piaskiem kryta, że
góry tam są z drogich

kamieni a na brzegu rza perły i purpura?

— Tak rzekłem, tak jest.

— Czy prawdą jest, żeś widział tam rośliny niosące owoc
słodszy od chleba; żeś

widział tam trzcinę, z której miód wypływa; żeś widział tam
krzaki, które dają

nici bielsze od śniegu; żeś widział tam drzewa, z których
owoców słodkie wino

wypływa a z pod ich kory mleko się sączy?

— Widziałem wszystko i przywiozłem ze sobą okazy.

— A czyś przywiózł ze sobą tego ptaka, który jest rozumny
jak człowiek, który

ludzkim mówi językiem i cuda czyni?

— Jest w okręcie moim.

— A czyś mówił już o tem innym?

— Tylko na tych marmurach spisane są moje tajemnice

— Czy twoi żeglarze nie byli w mieście ?

— Żaden z nich portu nie opuścił.

— Wróć do twego okrętu, Hannonie. Poszli więc razem z nim do portu.

Późnym wieczorem wywiedli okręt na pełne morze, otaczając go czterema wojennymi nawami, rozdarli jego żagle zniszczyli jego ster, złamali jego maszty i..

podłożyli z czterech stron grecki ogień, który w wodzie płonął. Ogniste iskry podpaliły okręt a niezgaszony płomień ognia greek go przeniknął żelazne pokrycia i wpośrodku morza pochłona okręt Hannonna, wraz z jego właścicielem i załogą i z przywiezionym z nowych światów złotym piaskiem i z chlebowym owocem i z miodonośną rośliną i z mlekodajnem drzewem i z ptakiem gadającym: wszystko to razem do szczęścia w wodzie spłonęło.

A w Kartaginie postanowiono, że ktoby o szczęśliwej ziemi Hannonna ośmielił się jednym wspomnieć słowem, ten straci głowę na rynku Astarty, a gdyby którykolwiek senator powtórzył choć jedno słowo z tego, co Hannon na tej tablicy napisał, ten w porcie związanym zostanie i z kamieniem u szyi w morze rzucony.

Gdyby bowiem lud kartagiński mógł się dowiedzieć, że istnieje kraj tak szczęśliwy pod niebem, tłumnie porzuciłby ojczyznę i te pałace rozpadłyby się w

ruinie a węże i nietoperze zamieszkałyby na gruzach a
cudzoziemiec takby się
pytał o Kartaginę: Cóż to jest? któż wie co o tem?

II.

Kiedy Tyr był jeszcze w stanie kwitnącym, i kiedy nawy jego
aż do Indyj
dopływały, żył wówczas w tem mieście bogaty żeglarz, który
nazywał się Bar
Noemi. Jak widać z nazwiska, był on pochodzenia
palestyńskiego; jeden z tych
potomków Beniamina, którzy w czternastu mężów wypędzeni
zostali z miasta i
zabici za obrazę jednej kobiety.
Kara była rzeczywiście zasłużoną. Dzicy ci ludzie zhańbili
kobietę, która jako
gość do miasta przybyła; dlatego też godziło się znieść ich z
oblicza ziemi.
Bar Noemi jednak był wówczas jeszcze dzieckiem, wskutek
czego uwolniony został
od kary, jako nie mający udziału w winie ojców; wiedział on
dobrze, że kara ta
nastąpiła na rozkaz Pana, na rozkaz wszechmocnego,
mściwego Jehowy, który wśród
błyskawic i gromów własną ręką napisał na marmurowych
kowanych tablicach:
Niechaj świętą będzie obcemu człowiekowi twarz kobiety
obcej, a kto jako wróg
przychodzi, niech umrze.

Bar Noemi wiedział dobrze, że wyrok wypełniono w sposób
bezwzględny i
bezlitosny, ale nie porzucił wiary swych ojców, gdy pomyślał
o krainach
szczęścia, o ziemi obiecanej, o wspaniałych podaniach Syonu,
o błogosławieństwie
potężnego a mściwego Boga, który grzechy ojców karze do
czwartego pokolenia, ale
cnoty ich nagradza do tysięcznego.
Ale bogowie Tyru i Sydonu, bogowie greccy byli miłsi; oni
znosili miłość na
swych ołtarzach i przyjmowali ofiarę gołębia czy kozy,
według tego, czy miłość
była czysta, czy nieczysta; nie rachowali zresztą nikomu
grzechów wesołych,
mysteryami uczyli śmiertelnika, jak po niepojętych stopniach
rozkoszy zbliżyć
się do zbawienia — lub potępienia.
Bar Noemi nie odwiedzał świątyn Astarty; zamiast tego,
spędzał święta ojców na
postach i modlitwie, oblewał próg swego domu krwią
paschalnego baranka i co rok
stawiał na ' dworze swoim namiot pokryty zielenią. Lud
tyryjski pozwalał mu
czyścić, co mu się podobało, gdyż zawsze ludność handlowa
w. rzeczach wiary jest
bardzo tolerancyjną; nie mówiono też wobec niego nigdy o
wierze Izraela; dość
się kłócili ze sobą, jeżeli nie na żelazo, to na srebro i złoto.
Bar Noemi, kiedy dorósł, był najbogatszym prawie z kupców
tyryjskich:
pięćdziesiąt okrętów wiozło mu srebro, złoto, purpurę, perły i
zamorskie zioła —

i niosło je z jednej części świata do drugiej. Sam on był
najśmielszym
żeglarzem. Często całe lata nieobecny w domu, był na swym
okręcie, którego
załogę stanowiła wyborowa młodzież hebrajska.
Bar Noemi był pierwszy, który wpłynął na morze Czerwone,
który na swym statku do
Kartaginy umiał dopłynąć, nie używając do przenoszenia
ciężarów od jednego
brzegu morza do drugiego karków wielbłądzych, co pod
Ptolomeuszami było ogromnie
płacone i bardzo utrudniało handel. Nikt nie wiedział, nawet z
pośród
najstarszych kupców, jakim sposobem możnaby było tę drogę
skrócić. Przylądek
Dobrej

Nadziei był wówczas jeszcze dla kupieckiego świata
nieznanym punktem, od którego
odpychały go nieprzyjazne huragany i burze morskie.
W Kartaginie poznał Bar Noemi córkę pewnego kupca, jedną
z tych punickich
piękności, których czarom rzymskie damy ustępowały daleko.
Miała ona cerę twarzy
jaknajbielszą; jasny, prawie w szafran wpadający, bujny włos
na głowie, błękitne
oko z czarną rzęsą, wąskie, ciemne, łukowate brwi; usta
ciemno-czerwone jak
purpura a skórę gładką jak aksamit.
Piękne rzymianki, po ukończeniu pierwszej wojny punickiej,
widząc, jak ich

mężowie stają się niewolnikami pięknych cudzoziemek,
wszelkiej sztuki używać
poczęły, aby walczyć z pięknosciami kartagińskimi.
Malowały więc włosy swoje
szafranem, twarz na noc świeżem pokrywały mięsem, usta
czerwoną maścią różowały.
Ale kartaginkom wszystko to dała natura: dała im ona, złociste
warkocze, bujne i
długie, z których w ostatnich klęskach wojennych swej
ojczyzny plotły cięciwy do
łuków — łuków, które miały w rozpaczliwych dniach
Kartaginy łamać szeregi wrogów
i, bronić twierdz od naporu oręża rzymskiego.
Jedną z takich piękności była Byssenia.
Ojciec był zadowolony z losu, jaki Bar Noemi córce jego miał
stworzyć. Kupcy
zazwyczaj w czasie ważnych i dobrych interesów zakładają
sobie kółko rodzinne.
Bar Noemi był nie tylko bogaty, ale też i piękny mężczyzna.
Był odważny, rozumny
i głowę nosił wysoko, gdyż wiedział, że to nadaje twarzy
wyraz imponujący a
uważałby za hańbę spuścić przed kimkolwiek oczy. Zwykł był
mawiać:
— Nie masz straszliwszego spojrzenia nad błyskawicę i
straszliwszej mowy nad ryk
morza, ale ja już i do nich się przyzwyczailem.
Znajomi, pierwsi znaczeniem w. mieście ludzie, przyja-

ciele, zeszli się w dzień wesela Byssenii u jej ojca. Ją zaś
kartagińskie

dziewice powiodły do gaju Astarty, aby tam po raz ostatni w świętym ruczaju się wykapała i zaprowadziły ją do ołtarza bogini, gdzie miała być onemu oddana.

Kiedy grono tych dziewic żądać poczęło odeń, aby według fenickiego zwyczaju,

wyrzeźbionym bogom się pokłonił i aby prosił ich o błogosławieństwo, Bar Noemi

na podziw wszystkim zawołał:

— Jehowa jest Bogiem! — i bogom się nie pokłonił. Starcy i kapłani, przerażeni

tym zuchwałym okrzykiem,

szeptać poczęli między sobą, co mają począć z tym śmiałym cudzoziemcem.

"Zaprowadzili go do amfiteatru Astarty, którą lud czcił w postaci białej,

wyrzeźbionej z marmuru niewiasty i pokazali mu misterye czci jej oddawanej,

słodkie tajniki miłości, przy których rozum ludzki blednieje, podniecające

obrazy zmysłowe, które pod różną nazwą, w każdym wieku, aż do naszych czasów

znajdowały bałwochwalców!

Bar Noemi odwrócił twarz od tej oślepiającej ułudy i zawołał: — Jehowa Bóg!

Starcy i kapłani, opuściwszy głowy wyszli i zaprowadzili Bar Noemiego do

świątyni wielkiego, wspaniałego boga Dagona, który błyszczał od srebra i złota,

który stał na okręcie perłowym, pokrytym drogiemi kamieniami i szlachetnym

metalem i zamiast fal morskich, płynął w olbrzymiej cysternie, rtęcią

napelnionej.

Tu rzekli Bar Noemiemu. że jeżeli przed czarem miłości
głowy nie schylił, aby
schylił ją przed obrazem bogactwa. Gdyż Dagon-to daje
pieniądz i władzę tym,
którzy weń wierzą.

Ale Bar Noemi pogardliwie spojrział na olbrzymie bogactwa,
jakie widział wokół i
śmiało powtórzył:
— Jehowa Bóg!

Starcy i kapłani, gniewnie nań spoglądając, zaprowadzili go
do świątyni
Renafana, boga wojny, który stał na słupie miedzianym a sam
był wykuty z żelaza;
pod nogami gromadą leżały miecze, tarcze i tryumfalne bitew
łupy, które
wojownicy kartagińscy na wrogach swych zdobyli i rostra
okrętów, które na morzu
nieprzyjaciołom zabrali — i które u nóg Renafana składano.
— Spójrz; jeśliś nie kląkł przed miłością, przed bogactwem,
klęknij przed tym
bogiem, który daje sławę, największe szczęście prawdziwego
męża.

Ale Bar Noemi, śmiało spojrzawszy w puste oczy bożka,
zuchwale odparł:
— Jeden jest Bóg! Wszechmocny Jehowa! Zaprowadzili go
więc do podziemnej
świątyni potężnego , boga piekieł, Baala, który w wieczystym
ogniu panuje i daje

kary i cierpienia na tym i na tamtym świecie. Tu pokazano
cudzoziemcowi
nieforemnego bałwana, o czerwonej, niesytej piersi, która
codziennie krwawą
ludzką ofiarą karmić się musiała. W końcu pokazali mu i
ofiarę samą. Silnego i
rosłego mężczyznę wtrącono w paszczę bezlitosnego boga i z
nozdrzy wybiegł dym
ciemny a ginąca ofiara w jego pustem wnętrzu tak wyła, jakby
szatani wrzaski swe
urządzali a tak powoli cichła, jak dziki zwierz, gdy głód
zaspakaja i wreszcie
się nasycą.

— Bar Noemi! — mówili starcy. — Przed tobą wrota śmierci,
mów!

Młody cudzoziemiec, pełen odraży, podniósł oczy ku niebu,
które było tak czyste,
jak wieczne Boga siedlisko i nieporuszony mówił:

— Jeden jest Bóg, wszechmocny Bóg! Pan ziemi, Pan gwiazd
niebieskich, Pan mórz,

Pan życia i śmierci, Pan nad nad Pany — nieśmiertelny
Jehowa! A prochem i

cieniem jest wszystko wobec Niego!

Tymczasem bożek porwał drugą ofiarę, którą służbę czy-

niący kapłani rozćwiartowali i potworowi ją dali. Wycie
umierającego złączyło do
modlitwy ręce Noemiego. Sądził, że ostatnia jego nadchodzi
godzina, że i jemu
przyjdzie zginąć" w paszczy Baala.

Starcy i kapłani znowu coś szeptali i z uśmiechniętem obliczem rzekli do Bar

Noemiego:

— Oto zachowałeś do końca wiarę swoją, pozostań więc przy niej i nie bądź wobec niej przekłety. Przysięgnij małżonce twej według zwyczajów twoich i weź ją ze sobą do twej dalekiej ziemi i żyj z nią póki się twemu Bogu spodoba.

Uspokoił się na te słowa Bar Noemi i w ciszy serca swego błogosławił Jehowę, który daje zwycięztwo tym, co weń wierzą i silne serce tym, co go chwala.

Przysiągł więc Noemi Byssenii miłość" i wiarę według zwyczajów swej ziemi. Ojcu narzeczonej dał mały gościniec, ten zaś mu. ofiarował znowu jakieś ozdoby kobiece; zamiany tej dokonawszy, ruszyli ku okrętom a tłum ludu zebranego w porcie, wśród radosnych okrzyków i wesołej muzyki, odprowadził ich nad brzeg morza.

Cztery okręty, gotowe do podróży, czekały na nowozaślubionych. Były tam trzy wspaniałe okręty kartagińskie, ozdobione pysznym haftem po bokach, na zewnątrz miały wyrzeźbione ze złota różne dziwy, z tyłu był most zwodzony na wypadek bitwy z wrogami a wpośrodku wysokie wzniesienie, z kąd zazwyczaj rzucano kamienie i strzały.

Kiedy już wypłynęli żeglarze na pełne morze, kiedy już portu widać" nie było,

wtedy nagle okręty kartagińskie rzuciły mosty na okręt tyryjski i wszyscy stanęli.

Starcy jeszcze raz do Bar Noemiego przemówili:

— Bar Noemi! Synu obcej ziemi! Pod tobą bezbrzeżne morze, nad tobą bezbrzeżne

niebo. Powiedz teraz, jakież Bóg w tej pustyni ci pomoże?

— Jehowa! — odrzekł Bar Noemi.

— Niechaj ci więc Jehowa pomoże — rzekli starcy.

i zerwali z okrętu Bar Noemiego żagle, złamali wiosła i zniszczyli ster i

wszystko to, co do żeglugi jest konieczne.

Radzili narzeczonej, aby powróciła do ojca, do Kartaginy. Ale Byssenia,

przytuliwszy się do piersi Bara, odrzekła, że lepiej zostanie tu na morzu, wśród

burz i wichrów z tym, któremu wierność przysięgła i nie opuści go w niebezpieczeństwie.

— Niech ci Jehowa pomoże! — mówili starcy i oddalili się od okrętu Bar Noemiego,

spuściwszy mosty i pozostawili go wśród burzliwego morza, bez żagli, bez wiosła,

bez steru, na pastwę huraganom i na łasce ślepego żywiołu.

III.

Do ciebie wołam, dobrotliwy Panie!

Tyś mocną tarczą przeciw moim wrogom,

Tyś mą obroną w polu krwawej bitwy,

Tyś rai odżywczem źródłem jest w pustyni,
Tyś mą ucieczką wśród orkanów wrzawy!
Nie opuszczaj mnie!

Nie opuszczaj, o Panie, tego, który Twą chwałę głosi i który w
niebo spogląda i
który woła do Ciebie: Bądź ze mną i pomagaj mi.....
.....Wśród cichego, bezwietrznego morza, stał opuszczony
okręt, pozbawiony
żagłów i rudla, a zdala na horyzoncie, gdzie niebo z ziemią się
całuje, nie
widać było ani czarnego punkta" ani białego żagla, któryby
ślad jakiegokolwiek
ziemi pokazywał. Wśród tej próżni stał Bar Noemi i jego na
zagładę skazana
załoga.
Bar Noemi jednak wierzył, że nad tą próżnią jest Pan, który
niebu i ziemi
rozkazuje.

I oto, gdy złożywszy ręce modlił się, przyleciał od wschodu
ranny w skrzydło
gołąbek i usiadł na najwyższym maszcie okrętu.
Nigdy jeszcze nie widziano takiego gołębia: całe jego
upierzenie było zielone z
odcieniem perłowym, ogon złoty i gwiazdzisty jak u pawia a
naokoło szyi
purpurowy kołnierz.
Bar Noemi podał mu garść ryżu na dłoni; gołąb zbiegł z
masztu, siadł żeglarzowi

na ręce i zbierał po jednym ziarnku, gruchając nad każdym,
jak to zwykle czynią
dzikie gołębie. Poczem znów na maszt powrócił i tam do
wieczora pozostał.

Załoga, patrząc na to, krzyczała z podziwu, a Bar Noemi
mówił:

— Widzicie, oto Jehowa głos mój usłyszał i przysłał nam
swego posła, rozkazując
mu, aby nam drogę wskazywał. Gdyż wiem, że on to od
nieszczęścia nas uratuje.

Weźmy nasze -płaszcze i wszystko co na okręcie jest
zbyteczne, odzież kobiecą,
suknie tkane złotem, frygijskie purpurowe płótna i zrobmy z
tego żagiel.

Niedługo powieje wiatr zachodni, który przybliży nas do
jakiego brzegu, gdzie
odnowimy nasz okręt i powrócimy do Tyra, do którego drogę
znam dobrze.

Marynarze, słowa nie mówiąc, przygotowali żagiel, śmiało
łatając go ze

zniszczonych skarbów i rozpięli go, jak się dało, wiążąc
sznurkami — i oto

stało słońce, lśniąc swem odbiciem, które w morzu,
kołysanem wiatrami,

poruszać się zdawało w każdej krezie fal morskich. Okręt był
gotowy, zlatany

żagiel szumiał a nawa silnie stała wśród fali i szybko pruć
poczęła zwierciadło
morza.

Załoga na kolanach modliła się:

— Jeden jest Bóg, Bóg Jehowa!

Wiatr całą noc wiał przyjaźny. Bar Noemi całą noc patrzył na
gwiazdy. Gwiazda

strażnicza i gwiazda krwawa nad głową jego tworzyły łuk
wspaniały; punkt
dyamentowy

i smocze oko stały wysoko na niebie; okręt spokojnie płynął
iku zachodowi.

Trzy dni i trzy noce biegł okręt po morzu, bez steru i z jednym
tylko żaglem. Na

trzecią noc wyłoniły się z głębi morskiego potworu ciemne
góry Atlasu,

graniczące z nieznanym światem, oddzielające tajemniczy
ocean od morza

Śródziemnego niezdojetymi słupami Herkulesa, które dziś
zowiemy Gibraltarem.

Znany punkt był przed oczyma żeglarzy. Za tym punktem żyli
szczęśliwi mieszkańcy

hesperyjskich ogrodów o złotych jabłkach; porywali oni tych,
co płynęli u ich

brzegów, tak, że dziewczicom z pod gór Atlasu niebezpieczniej
było patrzeć w tę

stronę, niżli słuchać śpiewu syren, lub żeglować nad
przeklętym koralowem

wyspami Scylli. Ostatni port afrykański więcej przerażał
żeglarza, niżli szatan

piekiel i śmierć, dwa zabójcze anioły ówczesne. Żeglarze Bar
Noemiego z radością

weszli na maszty, aby lepiej ujrzeć szczęśliwą obiecaną
ziemię, która co chwila

była bliższą. Już barwić się poczęły jej brzegi, już na sinych
górach widać było

ciemną zieleń lasów, już jaśniały łąki pokryte wysoką trawą i otoczone szkarłatem gajów migdałowych a storczyki ogniste i błękitne bujały się na długich gałęziach; już widać było dym chat gościnnych — gdy nagle w południowej stronie nieba pokazał się czarny obłok i w chwilę potem zaciemnił słońce i całe morze kolor zmieniło. Jakaś ponurą, ciemno-zieloną barwą igrały fale, góry Atlasu zszarzały, brzegi wciąż w mgle się rozpływały, wciąż znikwały i nagle, jakby z chmur na niebiosach wybiegłe, całe powietrze napęłniły białe ptaki o czarnych skrzydłach, ptaki, których żywiołem jest burza, które huraganem oddychają i w nieznanym przestrzeniach morskich wyprzedzają okręty, ku przerażeniu żeglarzy, złowróbną przepowiednią zguby i nieraz z przeraźliwym świergotem oblatują okręt naokoło, niby śpiewając pieśń pogrzebową.

Bar Noemi zwinął jedyny żagiel, pocałował piękną żonę a później każdego z żeglarzy, którym nic nie pozostało, jak paść na kolana przed cudotwórczym Bogiem i gromką pieśnią zagłuszyć ryk fal morskich: "W Tobie, o Panie! jest nadzieja nasza!" Ryk fal morskich, wycie wichru stało się silniejsze; pieśń opuszczonych osłabła;

zahuczał piorun, głuszac całą wrzawę żywiołów i przebiegając morze z końca w koniec; noc bezpromienną czarnością pokryła niebiosa i morze, tylko błyskawice, jak pochodnie, na okamgnienie rozjaśniały przestrzenie. Na dalekim widnokregu za każdą błyskawicą wyłaniała się z morza czarna wstęga gór Atlasu, niby potwór we śnie ujrany — a tu po spienionych grzbietach bałwanów morskich mknie słaba łupina orzechowa, mała łódka drewniana, z którą wicher igrać się zdaje a w której dwustu się mieści z tego nędznego tłumu robaków, które się zowią panami natury. Szum wichru rośnie a rośnie. Po ciemnym dniu ciemniejsza jeszcze noc nadchodzi. Załoga coraz bliższą czuła się gór Atlasu i ścisnęła Bar Noemiego i składała ręce do Jehowy, który modłów ich wysłuchał. Jeszcze chwila a wszyscy będą u brzegu. Ustały błyskawice i nastąpiły godziny mroku zupełnego. Wicher rzucał okrętem, chwile śmiertelnej trwogi przepływały jak wieczność a gdy po długim czasie znów firmament przecięła wstęga ognista, nieszczęśliwi żeglarze nie ujrzeli już gór Atlasu. Wypłynęli już na morze Atlantyckie. — Jeden jest Bóg, Jehowa Bóg! Trwoga śmierci przypomniła im Pana, ale w nieskończonej wrzawie skłóconych żywiołów, nowe niebezpieczeństwa oszołomiły ich zupełnie. Noc minęła, ale niebo dalej było pokryte ciemnymi chmu-

rami, które zdawały się być wojującą armią a słońca po za
niemi widać wcale nie
było a horyzont cały był mgłą bezgraniczną pokryty. Tak
bezustannie cztery dni
płynęli. Wicher się nie męczy.
Okręt był zniszczony. Maszty były połamane; rzeźbione
smoki, które w promieniach
słońca jak słońce lśniły, pożarła głębia; wszelki ciężar
zbyteczny rzucali w
morze, aby tylko ocalić statek od zatopienia.
Gdy czwarty dzień w klęskach i burzy chylił się ku nocy,
przystąpił do Bar
Noemiego najstarszy żeglarz i tajemniczo go przywoławszy,
zapytał:
— Czy ty się codziennie modlisz do Jehowy, Bar Noemi?
— Każdej godziny, każdą myślą moją.
— Na tyle okrętu jest twoja arka przymierza, przed którą
zwykle się modlisz? Co
tam jest? Czy tam mieszka Jehowa ?
— Tam są Jego przykazania, według tablic jerozolimskich
spisane.
— Ty więc modlisz się do Jehowy. Ale twoi żeglarze na
przodzie okrętu modlą się
do Thammusa, złotego węża, którego sami sobie zrobili. Tak
więc dwa są bogi na
naszym okręcie i oba walczą o nas; jeden chce nas zgubić,
drugi' uratować a któż
nam dowiedzie, który z nich potężniejszy. Zginiemy przez to.
Bo jeden pewno jest

Bóg, jak ty go zowiesz, Jehowa, który dobrotliwie dawał nam dni słoneczne, ale przez gniew za ich grzechy, nie pozwala burzy przeminąć. Dla tego uważaj, co masz począć. Co noc, kiedy pod pokładem daje się słyszeć płacz i błaganie, wiedz, że się modlą do bałwana. Albo więc twoją arkę przymierza, albo złotego węża wyrzuć do wody, aby jeden Bóg był z nami. Bar Noemi wielce zasmucił się temi słowy i uczynił tak, jak mu stary żeglarz radził. Kiedy nocą usłyszał modły pod pokładem, zeszedł na przód okręta i znalazł tam żeglarzy, którzy, schyleni ku ziemi, bili się w piersi i ostremi no-

zami kłuli swe ciało. Pośród nich zaś był wąż złoty, owinięty na słupie a jego oczy karbunkułowe błyszcząły w ciemności. Bar Noemi przystąpił do bałwana i mieczem odciął mu głowę a później, uderzywszy go kilka razy, rozbił na drobne kawałki. — Spójrzcie — mówił Bar Noemi — czyż nie skłamał wam ten mag, który wam powiedział, że to jest Bóg. Czyż nie skłamał wam ten złotnik, który wam powiedział, że to złoto. Kłamstwem jest to wszystko. Łatwo pojmiecie, że ten, który to zrobił, nie widział Boga, jak nie widział złota. Niespodzianie złapani

żeglarze nie mówili ani słowa. Materyalne oszustwo najsilniej
upewniło ich o
niemocy ich bóstwa. Ucałowali suknię Bar Noemiego, zebrali
czerepy bożka i
rzucili je w morze.

IV.

Kiedy bożek zginął w falach, nagle, jak płaczące dziecko,
które wśród łez
usnęło, wszystko się uciszyło. Wycie wiatru zamilkło,
błyskawice ustały, czarne
chmury śpieszyły ukryć się za horyzontem, rozszalałe morze
spokojnie kołysać się
poczęło, zwierciadło stało się gładkiem i wnet najuroczystsza
cisza na niebie i
ziemi zapanowała.

— Dzień cudów! — wołali żeglarze.

A gdy gwiazdy pokryły sklepienia błękitów, nowe
podziwienie ogarnęło serca
rozbitków. To niebo gwiazdziste nie było tem, które znali.
Inne to gwiazdy, inne
konstelacye. Siedmiogwiezdnego wozu nigdzie nie widać, nie
widać nigdzie
wiecznie nieruchomej gwiazdy polarnej. Przewodniczka
żeglarzy, podwójne oko
nieba i tyle innych światel nie-

bieskich, które każdy żeglarz zwie tak poetycznie, które
wschód i zachód zna tak

dobrze, gdzie są? — nie ma ich tutaj. Wszystkie w morze się zapadły. Zamiast nich, inne się pokazały, ale nikt ich nazwać nie umiał. A wokół nich tak było jasno, że okręt cień rzucał, niby we dnie. Załoga z bijącym sercem spoglądała na to nieznane niebo, w którym nie znalazła dawnego swego świata i ze strachem pytała Bar Noemiego: — Panie, panie, gdzie jesteśmy? Bar Noemi, tając swą własną trwogę wobec innego nieba, odrzekł z westchnieniem: — Jesteśmy w ręku Boga. — Jesteśmy na krańcach świata! — zawołał głos buntowniczy. — W nicość płyniemy ! Inny mówił, że zbliżają się do państwa Rok-Rok, ojczyzny węzów i jaszczurek, gdzie na ludzi polują, tak, jak ludzie na dziczy polują. Trzeci przypominał baśń o indyjskich górach magnesowych, które z oddala przyciągają do siebie okręty a wszyscy byli przestraszeni widokiem tych miejsc nieznanych, o których baśnie nawet nie mówiły. Ludzie szeptali coś pomiędzy sobą a najmężniejsi przystąpili do Bar Noemiego z zagniewaniem obliczem. — Posłuchaj, Bar Noemi, co mówimy do ciebie. Modliłeś się dotychczas do Jehowy i sprowadziłeś przez to wiele nieszczęść na siebie i na tych, którzy są z tobą. Pchnąłeś nas na morze, sprowadziłeś burzę i klęski. Złamałeś Thammusa i modliłeś się do Jehowy. Teraz oto jesteśmy wśród nieznanego morza, nie wiedząc, gdzie

jestesmy i dokad idziemy. Tyś jest tego przyczyną i ta arka
przymierza, którą
wieziesz ze sobą i imię Jehowy, do którego się modlisz. Póki
był Thammus, była
burza; gdyś go zniszczył, stała się cisza. Ale ta cisza jest dla
nas większą
klęską, niż burza. Pierwej płynęliśmy wciąż dalej a teraz
stoimy na miejscu,

przekłęci, jakby dwie kotwice uwięziły nasz okręt.
Postanowiła więc załoga
ciebie i twoją arkę do morza strącić. Jedź, gdzie zechcesz. Nie
gniewamy się na
ciebie, ale boimy się ciebie. Przygotujemy ci tratwę z
masztów, damy ci ster,
powrócimy ci twój żagiel. Damy ci chleba i wody i jedź z
imieniem Jehowy, dokad
ci się spodoba; my też pojedziemy, dokad nas popchną dobre
lub złe czarty.
Bar Noemi nie mówił ani słowa. Lud ten chciał jego zguby:
trzykrotnie zdradził
jego wiarę. Ale lud ten sam był na zgubę skazany. Morze go
pochłonie, jak lud
Abiramu pochłoneła ziemia. Kiedy Sodoma miała zginąć od
ciężaru swych grzechów,
Pan ją chciał uratować, jeżeli jednego w niej znajdzie prawego
człowieka. Ale
teraz anioł Boga był obecny.
Byssenia, która dotychczas w milczeniu końca mowy czekała,
sądząc, że marynarze

namiętność swą zaspokoja; gdy ujrzała, że ci już tratwę dla
Bara gotują, objęła
smutnego męża i tak szepcząc, pocieszała go:
— Bądź spokojny, Noemi. To nie koniec świata. Zdobyłam w
Kartaginie tajemnicę
pewną, której tam głośno wypowiadać nie wolno, ale która
tam z ojca na syna
przechodzi i każdy ją w ciszy serca radośnie wspomina.
Mężny Hannon niegdyś
pchnięty burzą dostał się w te kraje. Gałą podróż swoją opisał
na marmurowych
tablicach, które dziś są pod zamkiem, w świątyni boga
śmierci. Kto tajemnice te
rozgłasza, umiera. Ja wiem ją od mojego ojca, który w tej
świątyni siedzi na
radzie z mędrkami i kupcami. Tam, gdzie zachodzi ta
najświecniejsza gwiazda,
jest nowa część świata, większa i piękniejsza stokroć, niż
nasza. Znajdziemy ją,
gdy zrozumiemy te gwiazdy. Dwie potężne siły są z nami,
które nam pomogą: z tobą
Jehowa, ze mną miłość.
Bar Noemi objął ją i ucałował, dziękując Bogu, że mu anioła
zesłał, który go od
niebezpieczeństwa uratował i sam począł żeglarzom pomagać
w robocie statku, na
którym

w przymierzu z Panem i w miłości lubej miał się puścić na
nieskończone morze.

Kiedy już tratwa była gotowa, jedynym masztem była tyka a żaglem rozdarty płaszcz, zszyty z weselną suknią niewieścią. Kropla wody rzecznej, wodą morską przesiąkły koszyk pszenicy — oto co od swej załogi otrzymał Bar Noemi.

Z niezliczonych skarbów, trzy tylko wziął ze sobą: arkę przymierza z zakonem bożym, wierną, kochaną Byssenię i miecz swój miły, stalowy. Kiedy Bar Noemi na łódź wstąpił, krzyknięto za nim: "Jehowa z tobą!" On zaś smutnie opuszczał okręt, z które go schodził jako ostatni człowiek sprawiedliwy i coraz bardziej oddalał się odeń i coraz bardziej samotniał w tych przestrzeniach.

Nagle ujrzał, jak okręt chwiać się poczyną i kołysze się coraz bardziej i fale na jego pokład wpadają i wreszcie w wodzie się pogrąża. Wiatr zachodni pozwolił Bar Noemiemu usłyszeć ostatni okrzyk przerażenia załogi ginącej w morzu.

Teraz on i Byssenia byli sami tylko na nieznanym wodach. Lecz niedługo byli sami. Brzmi śpiew ptaka na wysokościach i oto z błękitów spada cudnie zabarwiony gołąb, ten sam, który u brzegów Afryki okręt odwiedził i ufnie siada spocząć na wierzchołku maleńkiego masztu. I on był wichrem zagnany. Złoto-zielone jego pióra oblane były wodą a czerwony dzióbek otwierał się, smutnie turkając. Kiedy znajomych poznał, siadł Bar

Noemiemu na ręce, później Byssenii na ramieniu, a gdy oni mu dawali pszenicy, nie jadł, ale uderzał w nią dzióbkiem, wreszcie w powietrze uleciał.

— Idę za tobą, boski posłańcze! — mówił Bar Noemi pełen ufności i ułożywszy ku wiatrowi żagiel, skierował łódź w tę stronę, dokąd gołąb pofrunął.

Przewodnik niebieski nigdy nie zniknął im z oczu. Kie-

dy łódka nie mogła zdążyć za jego lotem, gołąb oglądał się i czekał. Na noc

siadł znowu na wierzchołku masztu a wczesnym rankiem znów biegł przed nimi w niezmiennym kierunku.

Trzy dni i trzy noce żeglarz płynął za gołębiem. Czwartego dnia o świcie wesoło

siadł gołąb na łonie Byssenii, wziął z jej ręki trochę pszenicy, wzleciał i

więcej widać go nie było: jeszcze raz się pokazał na krańcu widnokregu i zniknął.

Na czwartą noc samotni już podróżowali żeglarz z oblubienicą; słaba kobieta,

złożywszy głowę na łonie męża, niby na łożu wygodnym, zasnęła na morzu

bezbrzeżnemu

Ale Bar Noemi usnąć nie mógł. W sercu żeglarza bić poczęły jakieś niepojęte

przecucia, jakieś tajemnicze a potężne myśli, których pochodzenia wyjaśnić

sobie nie umiał. Czyżby miał ujrzeć te zielone krainy
szczęścia, o których marzą
wszyscy ludzie w smutnych krajach północy? Czyż miał
zawołać w niezgłębionej
radości: — Oto jest! Oto jest! Oto mój cel! ?
Zorza ozłaca swemi promieniami niebios a i mórz
powierzchnię i oto z pośród tych
złotych promieni niebios i morza, wylaniają się błękitne gór
wierzchołki na
firmamencie a wschodzące słońce purpurowemi barwy je
maluje.
— Jeden jest Pan! jeden jest Bóg! — zawołał Bar Noemi,
podnosząc ku niebu
dziękczynne dłonie a Byssenia z nim razem klęka przed arką
przymierza i oboje,
ściskawszy się gorąco, wylewali łzy rzewnej radości.
Nowy świat! Nie! To świat stary, który wtedy kończył swą
dziejową drogę, kiedy
twój znany ci świat zaczynał ją dopiero.
Tysiącolecia minęły. Któż wie, ile przez ten czas przesunęło
się po tym świecie
mieszkańców?
Te szkielety, które znaleziono na brzegach rzek, które
znaleziono na dnie kopalń,
nigdy nie były nazwane, żadna twarz europejska nie oglądała
nigdy tych
pozostałości.

gruzy olbrzymów królestwa roślinnego, które zwęglone od
wieków, lasami

spoczywają jedne na drugich, zdają się mówić o większym
umarłym świecie. Te
gigantyczne ruiny miast, o architekturze przedziwnej, jak na
ziemi Inkasów,
które pozostały nieznane awanturnicznym podróżnikom, czyż
nie wskazują na
istnienie znikłego ludu, który w blasku i wielkości sam sobie
wystarczał, który
swemi walkami połowę świata zdobył i był panem tych ziem
naokoło i z nieznaną
sztuką rzeźbił oblicze Boga, póki grzechy tego ludu nie
skazały go na zagładę, a
ostatni śpiew ich był jękiem półbogów ginących w uściskach
zdziczałej i
rozbujanej roślinności i w konwulsjach wstrząsanej ogniem
wewnętrznym ziemi.
Filozof Platon wspominał niegdyś o Szczęśliwych wyspach.
Może to obraz
poetyczny, może wytwór podniosłej duszy mędrca, który
wszędzie szukał ideału.
Ale z owych tysiącoleci pozostały ślady, których morze nie
śmiało zatopić, las
obrosnąć, burzą zniweczyć. I powzięliśmy pewność, że w
dawnych, dawnych wiekach
byli ludzie, którzy dosięgli najwyższej doskonałości i zginęli,
gdy stanąwszy na
szczycie pychy, osądzili, że wolno im głowę nosić tak
wysoko, jak Bogu.
Cudne obrazy tego świata zaginionego wlatują przed mą
duszą, niby senne,
czarowne widziadła!...

V.

O, wspaniała naturo! Niezrównana wieszczko, niedościgniona
sztukmistrzyni, która
jesteś wielką w kołysaniu listków i łagodną w obłokach
błękitów — ty czynisz tak
jak poeta, jak sztukmistrz, jak mędrzec; ty próbujesz, badasz,

doświadczasz i poprawiasz to, co ci się zdaje źle wykonanem,
bezcelowem,
nieodpowiedniem. W myśli swojej ulepszasz twe dzieła, złe
usuwasz, nowe
wprowadzasz a gdy cały układ jest w chaosie, ścierasz jak
rzeźbiarz swój model
woskowy, rozrywasz jak poeta zapisaną kartę i tworzysz
szereg nowych ciał na ich
miejsce.

Tylko, że ty swej siły wieszczęj próbujesz na całych częściach
świata a
tysiącolecia wykonywają twe zamiary.
Kiedyś wyczarowała z ciepłej ziemi te potężne przedpotopowe
zwierzęta, byłaś
dziecięciem jeszcze, byłaś młodym, z myślami walczącym
duchem, którego radość
wzrasta wobec ogromu i wspaniałości. Tyś lubiła patrzeć na te
zwierzęta, które
ślady ciężkich nóg swoich pozostawiły na kamiennych skałach
i których wycie
grzmiało od jednego łańcucha gór do drugiego.
Spoglądałaś radośnie, gdy poruszał się olbrzymi plesiosaurus,
od wielbłądziej

szyi do jaszczurczego ogona perłową łuską przykryty i gdy
bawół pierwotny,
podwójnym rogiem najpiękniejsze palmy, niby słomkę
rozrywał.

Ale żal ci się zrobiło pięknych lasów palmowych i stworzyłaś
olbrzymie potwory
mięsożerne, których kły najgrubszą skórę przebijały i
pożerając niszczycieli
roślin, broniły królestwa flory.

Ale wszystko to było zabawą. Po tysiącach lat, znudziłaś się
tym wiecznie
jednostajnym światem, który nie umiał myślać cię uwielbiać,
ani spojrzeć na niebo
nie potrafił.

Wtedy w duszy twej powstała piękniejsza i wspanialsza istota
od wszystkiego co
było na ziemi, istota stojąca prosto, spoglądająca w górę —
człowiek, którego
tak pokochałaś, żeś Boga uprosiła, aby mu duszy udzielił
Swojej.

Młoda istota dumnie podniosła głowę, przemówiła, aby swe
myśli wyrazić i rękami
zaczęła nad naturą sztuki wykonywać i takie wytwarzać
postacie, o jakich tyś nie
pomyślała nawet.

Radowałaś się wtedy, o twórcza naturo, że ten twój ulubieniec
czyni zabiegi,
pracuje, buduje, tworzy i ziemię twe obrabia. A serce jego
ogrzewała myśl, że on

jest panem tej ziemi i dla tego budował i wzmacniał i urządzał się tak, jakby mu świat ten był drogi.
Ale radość twa zachmurzyła się, kiedy ta najpiękniejsza istota świata zwyciężyła w sobie twą niebieską moc duchową i stała się niewolnikiem, kiedy stała się sługą swych namiętności, kiedy pijana gonić poczęła zadowolenie, kiedy wysoko noszoną głowę schyliła przed bezkształtnemu bałwanami, radując się nadmiarem skarbów, które ty jej dałaś. Jakżeś długo i ciężko smuciła się nad nim! Jakaś ziemią wstrząsała, aby go z tego szalu przebudzić! Posyłałaś mu okropne klęski; groźna twoja fantazja tworzyła straszne rodzaje śmierci, aby śmiertelny do Boga powrócił. Rzuciałaś nań deszcze kamienne, wodą zalewałaś jego domy murowane, aby cierpienie i nędza opamiętały jego duszę zbłąkaną. Ale było to próżnem; nie poprawili się wcale. Natura zachorowała, że jej mili cierpieli. A choroba natury przeszła na trawy i na drzewa i na użyteczne zwierzęta. Życiodawcze drzewa padły na rodzicielkę swą, ziemię; bogata flora nigdy już z tej choroby nie wyszła i trucizna wyrosła, gdzie pierwiej kwitło zboże, śniedź pokryła pszenicę, zamiast słodkich owoców, śmiercionośne grzyby obsiadły drzew pokrycia. Przerażająca śmiertelność ogarnęła zgłodniałe pszczoły

ziemi; z ziemi wypłynęła jadowita, wodą zatruta para z jej
głębi buchnęła w
twarz człowieka i w dniach szału, w bezrozumnym weselu i
pijaństwie, zginął pod
ciężarem klęsk twoich.

A jednak wtedy nawet nie pomyślał o tem: jaka praca odbywa
się pod nami ? kto
mieszka nad naszemi głowy ?

VI.

Na brzegu, gdziekolwiek spojrzysz, kwitnie las tak przecudny,
że tylko
czarodziejska fantazyja odtworzyłoby go potrafiła. Szerokie
konary drzew, których
gałęzie znów wrastają w ziemię, tworzyć się zdają kolumnady
świątyń, otoczone
gęstą, ciemną roślinnością, która zdobi nowe korzenie
wrosłych w ziemię gałęzi,
uśmiechniętymi oczkami błękitnych i czerwonych,
spoglądających wokoło kwiatków;
W zagajnikach o srebrnych liściach, wśród gałęzi pokrytych
różowemi kwiatami,
mieszczą się ciche gniazda a gęsta trzcina tak wysoko podnosi
kłosy, że gdyby
ludzka istota szła tędy, głowy nie byłoby jej widać.
W cieniu olbrzymich bananów kryją się szeregi palm
cienistych, z ciężkimi
owocami, z których więcej roskoszy miał Stwórca, niż z
jakiegokolwiek innego

tworu natury, gdyż palmy te pod ich ciężarem wysoko głowy
podnoszą i gdyby nawet
koronę nosiły, umiałyby ją trzymać z godnością.
Na jednym z drzew palmowych był człowiek, który się
zabawiał strącaniem wielkich
kokosowych orzechów i rzucaniem ich na ziemię. Niedaleko
niego, u stóp drzew,
między trawą, niby skała bezkształtna, leżało olbrzymie
megatherion, którego
cztery ogromne, leniwe łapy cały pagórek pokrywały.
Nagle potwór ten się podniósł, kręcąc nieforemną głową i
spoglądając małemi
oczami i strzygąc małym uchem. Całe wielkie jego ciało
pokrywała goła,
chropowata skóra, pomarszczona ze wszech stron a w kątach
zmarszczek spokojnie
przesiadywały ślimaki morskie, które w ciepłych dniach, w
czasie kąpieli nań
powłaziły. Tylko w nozdrzach, w uszach,

i na krótkim ogonie była twarda, choć bardzo rzadka
szczecina.

Przybywszy na brzeg, żeglarz tyryjski wbród przeniósł żonę
swoją i arkę na ląd
a gdy uczuł się na ziemi, padł na kolana przed Panem, który
cuda czyni ze
śmiertelnymi i całując ziemię, tęsknoty pełnym głosem
zaśpiewał psalm
dziękczynny:

"W Tobie, o Panie! moja ufność leży,

Boś Ty był i Tyś jest prawdziwym Bogiem
I będziesz Bogiem prawdziwym na wieki!"

Na ten dźwięk podniósł bezkształtną głowę ukryty w trawie
potwór i leniwie
poruszając grzbietem, zagrzemiał okropnym wyciem, które
raczej było podobne do
ryku ranionej bestyi, niż do przerażającego grzmotu.
Bar Noemi wyjął szablę i serce w nim zadrżało, kiedy ujrzał tę
okropną głowę
podnoszącą się wśród trzciny; ale wnet opuścił miecz i
uściskał czule
Byesenię, która bojaźliwie złożyła, głowę na jego piersi i
uspokajał ją, mówiąc:
— Nie lękaj się. Zwierz ten ma zęby czarne i tępe. to jest
roślinożercze
stworzenie. Człowieka nie napada. W Mizraimie (w Egipcie)
w wielkich jeziorach,
widziałem podobne potwory, które tam zowią behemotami.
Tylko nie są tak ogromne.
Człowiek będący na drzewie usłyszał głos przybyszów;
rzuciwszy parę kokosowych
orzechów na grzbiet megatherion, zszedł z palmy i ruszył ku
nim.
Megatherion zadowolone, że tak wiele łupów przed nim leży,
szybko poczęło
czarnymi zębami łamać twarde orzechy, niby ziarna
pszeniczne.
Człowiek jeszcze parę orzechów rzucił potworowi, który
rozdziawiwszy mordę,
chwycił je w locie, jak to robią czajki, kiedy matka je karmi
— a potem począł
ku Bar Noemiemu się zbliżać.

Była to postać godna pożałowania. Ani jednego włosa

nie miał na twarzy, ani na brodzie; twarz miała jakiś chorobliwy odcień czarnej barwy, rysy były chude, kolana chwiejne, klatka piersiowa wklęśła, plecy zgarbione. Był gorący dzień wiosenny a on w bramowanej odzieży zdawał się marznąć.

Podziw Bar Noemiego urósł, gdy obcy, na drugim końcu ziemi, odezwał się doń

łamana, lecz zrozumiałą kartagińską mową:

— Czy wy z Kartaginy jesteście?

Bar' Noemi z rozkoszą słuchał w tej oddalonej części świata dźwięków rodzinnej mowy.

— Jesteśmy z Kartaginy — odrzekł. — Okręt nasz rozbił się na drodze. Ale ty zkad

jesteś i kto jesteś, że naszą mowę znasz tak dobrze?

Obcy człowiek, drżąc z zimna przy czterdziesto-stopniowym cieple, zawinął się

mocniej w bawełniany płaszcz, na którym wyhaftowane były złote i srebrne kwiaty

i jeszcze bliżej przystąpił do przybyszów. Zdaleka trudno było mu mówić, gdyż

głos jego był zbyt słaby, aby mógł czynić to bez męczącego wysiłku.

— Jeżeli z Kartaginy jedzicie, toście pewno słyszeli o tablicach Hannon, na

których opisana jest ta ziemia; bo chociaż pod karą śmierci zakazano o tem

wspominać, to jednak pewno wszyscy kartagińczycy o tem
wiedzą. Tysiące ludzi już
przy pływało z brzegów Afryki na Szczęśliwą wyspę, jak
Hannon nazwał tę ziemię.

— Ach! więc jestem na Szczęśliwej wyspie? — zawołał Bar
Noemi, któremu znane
było to wyrażenie żeglarzy.

— Nie wyspa-to, lecz cała część świata, dziesięćkroć większa
od tej, którą ty
znasz tam za morzami. Mieszkańcy jednego krańca nie znają
mieszkańców drugiego;
najśmielsi podróżnicy nie doszli do granic tej części ziemi,
choć wiaż
głębiej i głębiej wchodzili, coraz nowe ziemie, nowe gór
pasma napotykali, nowe
ludy wreszcie, których liczba stokroć

jest większa, niż cała Roma i Grecya razem wzięte, jak je
opisali ci, co tam
byli. Szczęśliwa Wyspa nie ma granic: to nieskończoność!
A naprawdę zasługuje ta ziemia, by ją nazywać szczęśliwą?
— Upadnij w proch i ucałuj jej piersi. Ten kraj jest ziemskim
rajem: sam rodzi
wszystko to, nad czem gdzieindziej trzeba pracować. Jedno
drzewo niesie wełnę,
bielszą niż owcza; drugie w kwiatach swych miód ukrywa,
trzecie mleko, inne
masło, tłustsze niż bawolica daje; z innych możesz zrywać
gotowe a pożywne
owoce, z których jedne są jak chleb a drugie jak wino, a każde
ma sok jakiś,

który szał w duszy twej wywołuje; nad ziemią ulatujesz, gdy się uśpisz areką;
czujesz miłość tysiąca kobiet, gdy się upoisz żywicą batatów;
dwa serca biją w
tobie, gdy łykasz ognisty płyn ziarn kawy. W końcu pozwól
sobie powiedzieć, że
dzieciństwem jest wszelka rozkosz ludzka wobec moszczu
winnego, który z trzciny
cukrowej wypływa. Tysiąc jest tu rodzajów rozkoszy, o jakich
nigdzie pojęcia nie
mają: szkoda, że dłużej żyć nie można. Szkoda, że życie jest
tak krótkie. O!
gdyby starość nie nadchodziła tań wcześniej! Ja mam dopiero
lat trzydzieści.
Bar Noemiemu serce się ścisnęło. W trzydziestym roku taka
starość ! Rzeczywiście
człowiek ten wyglądał na lat blisko siedmdziesiąt. Był
wybladły, złamany, drżący
a nie miał tych imponujących i nakazujących cześć oznak
starości, jakimi są
siwe włosy i siwa broda. On nie miał ani jednego włoska na
głowie, ani jednego
włoska na brodzie.
Po tak długiej rozmowie, mieszkańcowi Szczęśliwej Wyspy
zimno się zrobiło, tak,
że drzeć począł i w gardle mu zaschło. Miał u boku na pasie
przywieszony kubek z
kości słoniowej, ze złotą pokrywą a w nim jakiś sok upajający
i podał go
żeglarzowi.
Ale Bar Noemi nie przyjął.

— Piję tylko ze źródła — powiedział.

Mieszkaniec nowej części świata śmiać się począł. Upajający płyn wnet wywołał czerwone plamy na jego policzkach i czole, które zdawały się płonąć. Oczy lśniły dziwnym blaskiem, w którym malowało się ogłupienie. Z zuchwałym uśmiechem zbliżył się do Byssenii i rzekł do niej, w obecności męża:

— Piękna pani, nie zostawaj z tym, który pije wodę. Ja cię upoję roskoszami, pójdź ze mną. Ja jestem piękny, godny miłości młodzieniec. Na ustach moich miód, w sercu mojem ogień. Porzuć tego żebraka; jam jest pan bogaty. Za każdy twój złoty włos, dam ci złoty pierścień; za dwoje twych oczu błękitnych, dam ci dwa karbunkuły. W pałacu cię pomieszczę, którego szczyt w niebo strzela i którego złote kopuły o słońce się opierają. A męża twego nie lękaj się. Jam jest silny, niezwyciężony rycerz, który jedną ręką zegnę go ku ziemi. To mówiąc, zachwiał się człowiek, nogi mu drżały, ręce chciały coś pochwycić, lecz bez oparcia upadł na ziemię.

Bar Noemi ze wstrętem odwrócił się od niego. Ucałował żonę i usunął się na bok.

A tymczasem megatherion głowę podniosło i zawyło. Było głodne.

To wycie otrzeźwiło pijanego. Chwiejnym krokiem pośpieszył ku potworowi, który zdaleka go widząc, paszczę rozdziawił i czarne zęby pokazał, czekając na orzechy

kokosowe, które mu obcy człowiek, zebrawszy z ziemi, do gardła rzucał. .

Byssenia chciała uciec z tego okropnego miejsca, ale Bar Noemi ją uspokoił i wstrzymał, mówiąc, aby czekali końca widowiska. Człowiek ten wstrętny jest gdy pijany, ale nie straszny. Dobrze z nim pomówić, gdy trzeźwy. W ciężkiej pracy karmienia zwierzęcia znikło z głowy człowieka tego szaleństwo, a gdy wreszcie straszycie, głód

zaspokoiwszy, legło na ziemi i usnęło, był zupełnie trzeźwy, tak samo blady i osłabiony, jak przedtem.

Zakończywszy pracę, zbliżył się do naszych znajomych i słabym głosem prosił Bar

Noemiego, aby mu rękę podał a on poprowadzi ich do miasta, gdzie jest jego mieszkanie i gdzie chciałby jego wraz z żoną przyjąć w gościnę.

Bar Noemi, dziękując bardzo, podał mu rękę, ale nie wytrzymał, by nie zapytać:

— Cóż to za zwierz potworny, którego ty karmisz i którym tak się zajmujesz?

Młody starzec spojrzał nań zdziwiony.

— Cudzoziemcze, zważaj na usta swoje, kiedy mówisz. Czy to nie bóg?

Bar Noemi oburzył się.

— Jakto? Ten potwór wyjący, o okropnych kopytach, o chropowatej skórze, o niezdarnej postaci, jest twoim bogiem ?

— Tak jest — odrzekł tamten głosem pełnym bojaźni i tęsknoty.— Każde miasto ma boga, którego lud wybiera i służy mu. Dziś ja, jutro inny i każdego dnia roku jeden z mieszkańców jest kapłanem. Kiedy nasi ojcowie przybyli tutaj, sto i sto lat przed nami, nadziemskie istoty były panami ziemi i można ich było pozyskać sobie tylko błogosławieństwem, bojaźnią, modlitwą. Od nich to idzie wszelkie dobro, wszelki owoc i to zwierzę, które jest bogiem. A te duchy nadziemskie są panami ziemi i nie umierają nigdy. Bar Noemi zasmucił się.
— O! lepiej, gdybym był na wzburzonym morzu, na bezsternej łódce, niż na tej ziemi przeklętej. I tęsknie spojrział na swoją arkę przymierza, którą nosił na głowie, prawą ręką trzymając Byssenię a lewą ręką jeść miecza. A gdy starzec go pytał, co jest w tej skrzyni, którą na głowie nosi, odpowiedział;

— Jest w niej skarb, jakiego nie masz na całej waszej Szczęśliwej Wyspie.

I myślał sobie:

— Mam moją drogą, która jest moim szczęściem i mój miecz, który jest moją obroną. Mogę iść spokojny. Starzec prowadził ich do miasta.

VII.

Spojrzyjcie na to miasto imponujące, które leży przed wami!
Ani Roma, ani Londyn, ani stolica państwa niebieskiego
Pekin, ani sława
starożytności, Babilon, ani żadne inne miasto na świecie
równać się z niem nie
może.

Z wierzchołków gór ledwie widzieć można jego krańce.
Niegdyś stało ono między
dwoma rzekami, które go odgraniczały, ale dziś i one pełne są
zabudowań i one
są już miastem.

Dziwna, piękna architektura, w blasku i bogactwie dzikiej
fantazyi, śmiałym
rzutem ducha, łączy harmonijny styl klasyczny z
rozrzuconym, wspaniałym
gotykiem. Wrota miasta tworzą piramidy z kamieni
olbrzymich, ułożonych jedne na
drugich; w najniższym, z jedenastu kamieni złożonym
szeregu, urządzone są otwory
tak szerokie, że wóz przejechać może; nad tym szeregiem jest
drugi, jeden kamień
mniej zawierający i tak dalej, aż w jedenastym szeregu jeden
tylko kamień się
znajduje, a na nim, także z kamienia wykuta podobizna boga-
obrońcy miasta,
potwornego megatherion.

Na ścianach każdego kamienia wyrzeźbiona postać ludzka, z
koroną na głowie, z
berłem królewskim w ręku a pod spodem nieznanem pismem
wryto ich imiona.

Wchodzącego do miasta cudzoziemca przedewszystkiem
uderzy upajająca, dziwna woń,
która tam zdaje się być w powietrzu i której para złotym
tumanem ulatuje
wieczyście nad miastem i osiada na wieżach najdalszych
pałaców i na kopułach
świątyń. To zapach ambry i piżma i jakichś ziół nieznanych,
które właściciele
domów wśród murów rozleli i rozsypali, aby miasto całe
kąpało się zawsze w morzu
pachnącem. A każda ulica inne miała pachnidła, inną woń
niosła.
Zdale już widać było wspaniałe wille i pałace miejskie, niby
domki z kart
ułożone. Jeden szereg słupów na drugim a każdy otoczony
fantastyczną sztachetką,
tworzyły w ten sposób śmiało położone na sobie altany;
pierwsza kolumnada była
metalowa, z pięknie cyzelowanej miedzi, druga z jaspisu lub
alabastru a
najwyższa ze szkła przezroczystego, w pryzmaty wyciętego,
tak, że słońce w niem
tęczowemi barwy się łamało.
Zewnątrz pałaców nie błyszczały okna, nie można wewnątrz
zajrzeć, jak to u nas
bywa; cała ściana zewnętrzna wymalowana w cudowne
obrazy, któremi wciążby się
oko napawało, gdyby innych nie widziało piękności.
U stóp domów, jak długie ulice, chodniki były wysłane
srebrnemi płytami a w

gorące dni letnie, aby lekkie nóżki kobiet nie palił rozgrzany metal, służący w biegu rzucali przed nimi haftowane dywany, aby po nich stapały.

Na dachach domów zawieszane były łukowe mosty, tak, że jeden dom łączył się z drugim i można było przejść całe miasto z końca w koniec zarówno po ulicach dolnych, jak i powietrznych. Tamte stanowiły drogę dzienną, te — nocną. Gdy pierwszy mrok upadł na ulice, napełniały się mosty radościami okrzyki, śpiewem i muzyką a rozweselone tłumy przebiegały po domach a każdy miał tu swoją słodką tajemnicę.

Blask pochodni oświetlał całą tę przestrzeń i w pijanej orgii nieumiarkowana, ludność traciła rozum i szalała, tak, że

gdyby ktoś obcy stanął tutaj i słyszał tę wrzawę bezmyślną, zwątpiłby, czy ludzi ma przed sobą.

Nad pałacami gdzieniegdzie wiszą wspaniałe kopuły, niby olbrzymie jaja, ustawione na ziemi. Podziwiać tylko można tę niezrównaną architekturę, gdzie cała budowla zdaje się z oddzielnych złożoną, kamieni, a jednak tworzy całość nieporuszoną.

Tylko w środku miasta stoi niezdarna, ogromna świątynia, której dziewięć boków

pokryte są oślepiającymi tablicami z polerowanego srebra a w tych olbrzymieli lustrach po stokroć i po stokroć odbija się złociste słońce i różnobarwne miasto, aż do najdalszych ulic. Na dachu świątyni siedzi olbrzymi, ze srebra wykuty bałwan. Głowę okrągłą ma jak człowiek, u rąk i nóg po pięć palców, ale długi ogon z tyłu zaprzeczać się zdaje jego ludzkiej naturze. W oczodołach lśnią wielkie jak jaja dyamenty, w których słońce tęczowemi barwami się łamie. To podobizna Trytona! To najstarożytniejsze bóstwo, jakie tu nad wszystkie straszidła wyniesiono; to potwór tysiąc-letni, którego obraz nad każdą bramą świątyni błyszczy. On wyje, gdy głodny a wtedy drży całe miasto, drży cały kraj przed jego gniewem. Raz tylko w rok chce jeść i wtedy pożera jednego męża i jedną kobietę, którzy w paszczy jego giną. Odtąd milknie na rok cały i siedzi na złotym tronie, złożywszy ręce na kolanach i nieruchomem okiem spogląda na swą postać, odbitą stokrotnie w srebrnych lustrach chodników.

VIII.

Gdyby te dziwotworne, przedpotopowe zwierzęta, te bezkształtne straszidła,

zawyły nagle u wrót ludnego miasta, niby huk piorumu,
padającego w ulice, czyż
nie zadrżałby w takim razie każdy człowiek? A jednak byłyby
to tylko pusty dźwięk
a dźwięku czegoż się lękać?
Może jest w głębi duszy jakieś pierwotne, nieświadome
uczucie, które pojmuje
słowa wyjącego słonia i które w tych bolesnych skargach'
widzi tylko powtórzenie
skarg swoich, innym językiem wypowiedzianych.
— O, przekłete cierpienie! Gdyby ciebie nie było, byłoby
szczęście na ziemi. Ty
krwawisz ziemię, niebo i morze. Twój głód, mróz i nędza
pustoszą lasy. Twoja -
wściekłość łamie góry, przebija wnętrze ziemi. Twój bezwstyd
zatrzuwa rzeki.
Twoje fale psują powietrze, twój oddech zaciemnia słońce.
Kamieniami zarzucasz
kwitnące łąki, aby zieleniec nie mogły. Toczysz wojnę
przeciw całej naturze, ty
wszystkożerny potworze. I zwierzę i roślina nie uniknie, twych
zębów. Groby
rozkopujesz, aby ciało swe pokryć i okradasz jednych, aby dać
drugim! Przez
ciebie świat pustoszeje !
Ale serca drżą, usłyszawszy grom: czy on z niebios idzie, czy
z paszczy potwora
? Straszny huk przeraża a gdy zamilknie niebo czy
megatherion i gdy znów ta
muzyka się powtórzy, znów w sercach bojaźń się rodzi,
uczucie boleśne i
haniebne.

Szerokimi ulicami płyną fale ludu, w towarzystwie muzyki
świętecznej. Jakaś
wielka uroczystość w mieście Trytona.
Pałacowe okna pełne świeżych kwiatów, owych przedzi-

wnych pół-roślin, pół-zwierząt, które najprzód z ziemi
wyrastają z korzenia i
pną się po innych roślinach, niby zielone węże, których głowa
kończy się
wspaniałym tulipanem; ale w tym kwiecie jest jadowite żądło i
gdy koliber
siądzie na nim, aby sokiem jego się pożywić, listki się
składają i wysysają krew
i ciało biednego 'ptaka. Altany, ozdobione kwiatami, na dnie
morskiem rosnącemi.
Wynalazczy duch człowieka, zamiast wody, przyzwyczał je
żyć w powietrzu, choć
dawniej śmiało oplatały one swemi objęciami czerwone korale
i czule ścisnęły
polipy, wzajemnie się przenikając i wciąż zmieniając swe
barwy i swą postać, aż
w końcu przezroczysty mąż pochłoniął oboje i w swe błękitne
żyły wciągnął.
Zwykle kwiaty natury nie uderzają już ludzkiego serca; tylko
dziwne,
nadzwyczajne twory budzą do życia zdrętwiałe, stępiełe
uczucia.
Główna ulica, od wrót począwszy, aż do świątyni Trytona,
pokryta jednym dywanem
a dywan cały wyhaftowany z włosów dziewiczych. Czarne jak
heban stanowią

fundament a z kasztanowatych i złoto-czerwonych utkano
kwiaty" pałace i gromady
ludzi. Pewno droższej materii nie miał j na świecie żaden
król, ani księżę
udzielny. Co rok dziewice ścinają swe warkocze, co rok
dywan jest dłuższy, bo
miasto jest większe a dywan musi iść z końca w koniec.
Po tej droższej od złota materii idą tłumy ludu, niby fala
płynącej rzeki.
Na przodzie idzie więcej niż dwadzieścioro tysięcy dzieci,
chłopców i dziewcząt,
którzy chórem śpiewają i ku świątyni się kierują. Śpiewając,
tańczą jakiś taniec
konwulsyjny, twarz płonie im gorączkowo a w oczach nie
dziecinny ogień błyszczący.
Podniecające napoje dawano dzieciom w uroczystość Trytona,
aby pod ich wpływem,
upojone, śpiewały i tańczyły w konwulsjach ku czci bałwana.
Za nimi znajduje się dwadzieścia tysięcy kobiet. Odziane w
świetne materye,
pokryte barwnymi piórami a twarze

ich we wszystkie kolory tęczy pomalowane, brwi i usta
wyzłoczone a na głowach
warkocze stokrotnie złotymi nićmi powiązane, spadają im na
ramiona. Żaden rys w
ich postaciach nie pokazuje, że to są boskie istoty: wszystko
co radość ludzką
stanowi, ukryte, wymalowane, wyzłoczone. Tylko blask oczu
wskazuje, że to ludzie;
tylko ogień niebieski w źrenicach, że to kobiety.

Za nimi idzie trzystu sześćdziesięciu pięciu kapłanów w złotych mitrach, w długich płaszczach; w ręku nieśli berła ze srebrnymi dzwoneczkami. Byli to starcy poważni, którzy swemi wysokimi tiarami, swemi długimi togami zakrywali znajdujący się między nimi wóz o sześciu kołach Na każdym kole wyrzeźbiony był obraz słońca a na wozie łukowaty baldachim, wyhaftowany złotem i srebrem.

Na tym wysokim, bogatym wozie leży postać ludzka: jest blady, półumarły, oczy jego bez blasku, jak ił wody morskiej, twarz płowa jak ziemia, policzki zapadłe, kości wystające. Cała jego postać wciela zmęczenie, zanik życia, zatrąę duszy.

Twarz jego nieruchoma, tylko usta drzą niekiedy.

Ten człowiek, to Teczkatlępoka.

O uroczysrościach Teczkatlępoka pisali w swych dziełach historycy ziemi Inkasów,

których hiszpanie w niwecz obrócili. Tak zwali oni straszliwe misterya ku czci

boga którego corocznie sami obierali.

Wyszukiwano najpiękniejszego, najdzielniejszego mężczyznę w całym kraju i

sprowadzano go do miasta Trytona. Tam na placu stały

najpiękniejsze dziewice, o

niemalowanych twarzach, o niesplecionych włosach, w cudnie utkanych sukniach z

włókien szklanych.

One tak się odzywały do wybranego młodzieńca:

— Jesteś na ten rok bogiem Teczkatlępoka. Jesteś panem wszystkich piękności,

władzcą wszystkich roskoszy, królem wszystkich kobiet.
Każdy kwiat ci się
otwiera, każde

usta ciebie całują. Czy chcesz być bogiem TeczkatlépoKa ?
Czy chcesz się kąpać,
zginać, umrzeć w roskoszy?
I jeżeli wybraniec, oślepiiony ułudami tych czarujących
piękności, z błyszczącym
okiem, z przyśpieszonym biciem pulsów, zawołał: "Tak!" —
wtedy oblanego
balsamem, w sukni perłami ozdobnej, wiedli go do świątyni
Trytona i tam on wśród
zapomnienia i szalu dni i noce w roskoszy przeżywał.
Dziewice najpiękniejsze, o
długich rozpuszczonych włosach odwiedzały go kolejno a gdy
odeń wracały, bujne
warkocze im obcinano. Z tych warkoczy układano ów
olbrzymi dywan.
Ten szal i te sny roskoszne rok się ciągną. A w ostatnim dniu
roku, wraz z
ostatnią dziewczicą, którą sam sobie wybiera, zostaje on
Trytonowi ofiarowany.
Jedna paszcza pożerała oboje.
Raz na dziesięć lat zdarzyć się może, że serce wybranego nie
ugnie się przed tem
upajającym widowiskiem, że wśród tych niezrównanych
czarów, bo cóż
czarowniejszego nad wdzięki niewieście, odrzeknie
dziewicom: "Nie!"
Wtedy rozrywają na nim złoczone suknie i mówią mu:

— Miałeś iść w świat rokoszy i szczęścia, idź do świata
boleści i smutku.

Spójrz na te śniegiem pokryte góry. Tam mieszkają dwie
nieme siostry: Próżnia i
Nicość! Idź tam! Tam w przerażeniu i męczarni ginie każdy
człowiek i każde
zwierzę. Żyj tam samotny, w głodzie, w mrozie, w nędzy.
Niech z tobą pójdzie
ten, co cię kocha.

I wtedy wśród szyderstw i śmiechów niewieścich
odprowadzano człowieka, który
odmówił rokoszy, do bram miasta i przeklinano go, aby
nigdy nazad wrócić nie
mógł.

I zwykle oddalającemu się towarzyszy dziewczyna,
skromniejsza, łagodniejsza niż
inne, bogatym złocistym włosem źle ukrywająca wdzięki swej
postaci. Podaje ramię
wyklętemu i wraz z nim uchodzi z miasta rokoszy do
nieznanej krainy lodów. Gdyż
odmówić tyłu czarom nikt nie może,

prócz prawdziwej, czystej miłości, która jest niepodzielną jak
bóstwo.

Ale taki wypadek zdarza się raz na lat dziesięć.
Ośmieszonych, obrzuconych błotem kochanków dzika
tłuszcza prowadzi ku mglistym,
śnieżnym góróm, do krainy chmur i lodowisk i nigdy żadne
oko ludzkie nie
widziało jeszcze, aby ztamtąd powrócili. Nie zdarzyło się
nigdy, aby ich znów

ktoś w mieście zobaczył. Przypuszczają, że giną tam oni z zimna i głodu, lub stają się pastwą dzikich zwierząt, lub w mogiłę nędzy padają. Ta uroczystość Teczkateľpoka raz na rok się odbywa, kiedy zagrzmi na milowe przestrzenie ryk zgłodniałego Trytona i wtedy skąpanego w rokoszy młodzieńca stawiają na wóz tryumfalny, złotem wybity ze wszech stron i wśród śpiewu i muzyki na śmierć prowadzą. Oto historia człowieka, który leży na złotym wozie. Procesja idzie dalej. Za kapłanami idą dziewice: na głowach wieńce z kwiatów, suknie ogniste, przezroczyste. Między niemi na wozie poświęcona dziewica. Za tą półnaziemską, półpiekielną grupą szli mężczyźni. Co za mężczyźni! Zgięte, zgarbione postacie, z chwiejącymi się kolanami, z ramionami bez mięśni, z wklęsłymi piersiami! W twarzy ich niema duszy, w oczach niema ognia! Nędzni, zwiędnięci, szaleńcy zniszczeni ludzie! A jeśli jest między niemi jakiś dzielniejszy, piękniejszy młodzieniec, to niby dziw wygląda wśród tej tłuszczy osłabionej. A na wszystkich twarzach, na pięknych i na brzydkich, jest jakieś znamię przekłete, jakiś wyraz straszliwy, który oznacza zwierzę, demona i szaleńca. Rzecz dziwna, że kobiety są tu po większej części piękne a mężczyźni wstrętni. Niedaleki snadź upadek i zagłada ludu! W końcu za szeregami mężczyzn, idzie piekielna, bezro-

zumna tłuszczą potworów, którym ludzki język nazwiska nie nadaje. Zwierzęta o ludzkich głowach, ludzie o głowach zwierzęcych; straszliwe urągowiska ładu boskiej, świętej matki natury; przeraźliwe połączenia człowieka ze zwierzęciem, przekłete świadectwa znikczemnienia rozszalałego króla stworzenia, — istoty, którą dziejopisarze przeszłych wieków wspominają często, lecz raz tylko mówią o zagładzie jednego z tych potworów, o Minotaurze z wyspy Krety.

IX.

Przez jedyne, okrągłe okno w kopule wchodzi światło do świątyni Trytona. Pośród strasznych, rzeźbionych posągów, które, niby kolumny, utrzymują powagę, siedzi najwyższe dziwo pierwotnego świata, istota, której natura chciała nadać formę człowieczą: homo diluvii. Ma cztery sążnie długości, nogi jego nieproporcjonalnie krótkie, długie łokcie spoczywają na kolanach. Całe ciało pokrywa błękitno-zielona łuskowata. skóra, jak u węża morskiego, który ze starości się pofałdował. Twarz jego podobna jest

do twarzy ludzkiej; skóra w niektórych miejscach jaśniej
błękitna; zagięte, ale
nad nosem ściśnięte, małe, zapadłe czoło; w ogromnych
oczodołach dwie błędne
źrenice, zimne jak kamień, rubinowej barwy, wokół których
jasne koła, jak u
ryby; usta jego są bez warg i tylko wtedy je widać, gdy usta
otworzy, a gdy
otwiera je, to od ucha do ucha; uszy słabą błoną przykryte.
Głowę jego zdobi złota korona, z czterema do góry stojącymi
rogami, na których
śmiało porozwieszane brylanty. Z tyłu grzebieniowaty ogon,
którym tron obwija.

Tak z roku na rok siedzi nieruchomy potwór na swym tronie.
Jedynym znakiem życia
leniwy ruch oczu. Raz na rok głodnieje, z rykiem otwiera
paszczę, a gdy go
zaspokoją, znów milknie na rok cały; dwie ręce na dwóch
kolanach składa:
nieruchomem okiem spogląda na kamienne potwory,
nieprzystępny żadnym wpływom
wewnętrznym.
Rozmowy ludzi, ciche głosy zwierząt, dźwięcząca wokół
muzyka, jest mu tak
niepojęta, jak dla nas miłośne szepty muszli lub filozoficzne
rozprawy mrówek.
Pojmuje tylko ryk jednorodnych z nim potworów pierwotnego
świata.
To straszycło gnuśne, tylko potęgą swego głosu i przerażającą
postacią zdobyło

swą siłę. Dziecka nie odważyłoby się ruszyć, gdyby mu śmiało w oczy rzekło, że się go nie boi. A jednak drży przed nim cały lud: sługi jego, roślinożerne mamuty, megatheria, iquanodonty — karmi pierwszym owocem wiosny; jemu samemu daje krew najdzielniejszych mężów, najpiękniejszych dziewic, u stóp jego składa złoto z głębi ziemi, perły z głębi morza, zioła z głębi lasów i zowie go bogiem, któremu nie masz równego wśród dziwotworów dyluwialnych, którego natura obdarzyła bezgranicznym życiem, który siedział cichy, nieruchomy i żywy, kiedy nowa tęcza błyskała nad światem, gdy pokolenia ginęły, gdy się na nowo rodziły, coraz wyższe, coraz doskonalsze, coraz bardziej ludzkie. Zły, krwawy koniec miała uroczystość; boga Teczkatlępoka i dziewicę prowadzono do świątyni Trytona. Ciężkie wrota zamykały się za nimi a wraz z nimi szło trzystu sześćdziesięciu kapłanów. Co się tam w świątyni działo, nikt tego nigdy nie widział. Bolesny jęk i potworny ryk trwały chwilę. Na nowo otwierano wrota a kapłan najwyższy dawał znać ludowi, że na słowa potężnego Trytona spadł złoty obłok z nieba i uniósł w niebiosa młodzieńca i dziewicę a tam, wśród uroków i rokoszy szczęśliwa wieczność ich

czeka, tak jak szczęśliwym był rok, jaki przeżywa bóg
Teczkatlepoka.

Kto wątpił, mógł zliczyć wychodzących ze świątyni: było
trzystu sześćdziesięciu
trzech ludzi, o dwóch mniej niż poprzednio. Prócz nich, w
świątyni nie było
nikogo, tylko kamienne bałwany i ten potwór, który teraz
zaspokojony, śpi na
swoim tronie.

X.

A teraz idźmy na obiór boga.

Na wielkiej arenie, urządzonej w formie amfiteatru, zasiadł
lud Trytona. Cztery
piętra wznoszą się jedno nad drugim, podparte
posrebrzanymi miedzianymi
kolumnami a korona każdego słupa kończy się głową ptaka,
który przez złocony
dziób bije fontanną jakiegoś podbudzającego napoju,
spadającego do srebrnej
cysterny z wysokości dwudziestu łokci kryształowymi
kroplami, które w
promieniach słońca barwią się wszystkimi kolorami tęczy.
Lud, zalegający galerye, hojnie napełnia gardła tym płynem,
który go oszałamia i
niby pół-człowiek, pół-zwierzę otacza miednice i pełnymi usty
truciznę pije.
Dziki płomień bezrozumnego szału napełniają horde,
zgromadzoną w amfiteatrze.

Twarze im płoną, wszystkie zmysły podrażnione, łakną
rozpustnego zaspokożenia. W
piersiach tych ludzi gore piekielny i potworny ogień —
zniszczenia.

Wśród galeryi siedziały też i dzieci, które sprowadzono, aby
widziały dobry
przykład, aby też przyjęły udział w uroczystości. Przerazenie
opanowują, gdy
zamierzamy to opowiedzieć.

Blisko areny, na dwunastu wzniesionych, złotem utka-

nych ławach, siedzi trzystu sześćdziesięciu pięciu kapłanów.

U ich stóp

znajdują się muzykanci ze srebrnymi, długimi rogami, ze
szklanymi fletami,

których dźwięk miękki i słodki budzi w sercu tajemne czucia i
wszystkie zmysły

upaja. Na wzniesieniu, wśród areny, cztery ogniska płoną
wonnem kadzidłem,

którego dym błękitny w pijanym tłumie jeszcze bardziej żądze
podnieca.

Na znak kapłanów, otwierają się wrota na drugim końcu areny
i jak niegdyś z po

za karcerów cyrku rzymskiego wyprowadzano na śmierć
gladyatorów, tak tu dwóch

mężów wyprowadzono, z których jednego lud na boga miał
wybrać, aby po roku

uciech i pocałunków dziewiczych, wtrącić go do paszczy
Trytana.

Dwóch znaleźli kapłani ludzi wybitniejszych po nad innych:
jednego znalazł

kapłan ichtyozaura, drugiego kapłan megatherionu. Teraz
miano wybrać jednego z
nich na boga Uciech ziemskich.

Obaj ludzie przykryci byli gęstą gazą a gdy wstąpili na
wzniesienie wpośród
areny, reszta kapłanów zbliżyła się, aby ich obejrzeć".
Okrzyk ludu ucichł w przedłużonym szmerze; z nateżoną
uwagą spoglądały wszystkie
oczy na dwie wzniesione postacie, stojące wśród czterech
obłoków wonnego dymu
kadzideł.

Poczem kapłan ichtyozaura zerwał gazę z pierwszego
człowieka i rzekł:

— Patrzcie i podziwiajcie!

Był to brzydki, olbrzymi, sześć stóp wysoki człowiek. Twarz
jego raczej
zwierzęca jest niż ludzka, broda rozrzucona, brwi zrosłe, nos
płaski, grube
wargi znamionują zwierzęcą siłę i zwierzęce żądze. Na
szerokich barkach i
wielkich ramionach, bezkształtne mięśnie tworzą twardą
bryłę.

Gała' postać jego przeraża. Ale lśniąca odzież pokrywa tę
potworną figurę. Na
ramionach leżał płaszcz śmiało za-

rzucony, perłami wyhaftowany i złotem; gęstą, twardą
czupryną i czoło pokrywa
złoty szyszak, u spodu w brylant ustrojony; w lewej ręce
trzyma tarczę szeroką,

obwieszoną włosami z głów zabitych w boju nieprzyjaciół; w
prawej, na stopę
długi miecz miedziany, na którego pochwie wyryta obrazy
przeróżne. Cały ten oręż
pół centnara waży.

Gdy zdjęto maskę z młodzieńca, lud przyjął go radosnym
okrzykiem, podobnym do
wycia zwierzęcia, którego żądze zostały zaspokojone.

Wtedy drugi kapłan zbliżył się do drugiego człowieka i
zdejmując gazę, zawołał:

— Patrzcie i uwielbiajcie!

Drugi mąż nie był ubrany złotem ani brylantami. Czarna,
jednostajna,
cudzoziemska pokrywała go suknia a cała jego postać tchnęła
szlachetnością i

męstwem. Głowy swej również nie przyozdobił drogiemi
kamieniami, ale gęste,

krucze włosy swobodnie rozpuścił. U boku jego wisiał krótki
miecz, który zdaje
się mówić, że z wrogiem sobie z łatwością poradzi.

Kapłan rzekł do ludu:

— Spójrzycie! Ten człowiek jest cudzoziemcem. Z
zamorskich, dalekich krajów

potężne ramię Trytona sprowadziło go do nas. W jego oczach
inny ogień płonie, w

jego sercu inna krew krąży, niż w sercu naszych ludów, ale
przed jego obliczem

znika twarz każdego z mężów, na naszej glebie zrodzonych.

Niepowiem więcej.

Macie oczy. Wybierajcie,

Drugi kapłan zawołał:

— Kto chce wojownika?

Z pośród tłumu wyleciało ku wojownikowi kilka wieńców,
które rzuciły kobiety o
zepsutym smaku, lubujące się w dzikiej postaci bezkształtnego
Herkulesa.

A gdy kapłan megatherionu zapytał:
— Kto chce cudzoziemca na boga?

mały zielony robak pokrył powierzchnię wód niezliczoną
gromadą, zatruwając ten
miły napój wstrętnym odorem, a każde zwierzę, które tej
wody się napiło, w
cierpieniach padało wpół umarłe. Ryby w zatrutej wodzie
uśnięte, na wierzch
wypływały a prąd je wyrzucał na brzeg pokryty szlamem.
Wkrótce potem popsuła się
woda w studniach: stała się gorzka i słona i budziła odrazę.
Pociemniały
promienie wodotrysków od szlamu, który naniosły tu
przekłete robaki. [Wszystka
woda straciła świeży chłód, była natomiast nieprzyjemnie
ciepłą, tak, że
spragnione zwierzęta uciekały od niej i ze śmiertelną boleścią
ryczały,
podnosząc łby ku niebu. Miały więcej rozumu niż ludzie. Ci
śmieli się z klątwy:
kiedy woda zatruta, słodsze jest wino. Każdy więc
człowiek pił ów
podniecający płyn, nawet kobiety dzieci. Serce człowieka było
twarde!
Upadła druga klęska — na karmicielkę ziemię. Ciężka
prawica Pana ogromem kary

przeraziła świat. Suche twarde otwory rozdarły jej chorą
powierzchnię a pod jej
wewnętrznym cierpieniem, siną pleśnią i żółtym liszajem
pokryły się naczynia,
mieszkania i gładka kora drzew. Chora, smutna była ziemia:
trawa i drzewo
rodziły potwory, W słodkich owocach nikt nie widział mięsnej
owocni, jadowity
robak pożerał ją całą; w ziarnie kłosów osiadła sadza;
winograd schnie i więdnąc
na ziemię spada; chlebobajne drzewo zatrutą żywicę sący i
przekleństwo zamiast
błogosławieństw rodzi. Chorą i zbolełą jest cała roślinność
pod klątwą Boga:
tylko człowiek nic nie czuje. O! twarde było serce człowieka.
Po raz trzeci zagrzmiała klątwa — nad powierzchnią. Gęste,
nieprzejrzone gazy
padły na okolicę. Było ciemno, czarno, ponuro. Słońca nie
było widać a dzień był
podobny nocy. Chłodna mgła wytwarzała bolesny kaszel i
wstrzymywała oddech.
Nie można było chodzić po ulicach, ze ścian

spadała jakaś ciecz wilgotna a ciężki, gęsty obłok, który
zawsze po nad
ludzkimi głowami w niebo się unosi, upadł na ziemię,
pograżając w swej toni pola
i domy: przeraźliwy był to widok.

"W górę fletnie, w górę rogi!
Niech wesoło zabrzmia, śpiewy.

Kiedy mgła "zakrywa słońce,
Niech pochodnie jaśniej płoną. !
Kiedy tuman na ulicy,
Słodszym będzie kielich wina!
Kiedy życie nasze krótkie,
Bardziej śpieszyć nam wypada!
Kiedy śmierć się do nas zbliża,
Więc rozkoszy wszystkich czarę
Aż do dna, do dna wypijmy!"

Oto jaka myśl górowała nad umysłami mieszkańców Oceanii i nikt nie przyszedł prosić pięciu dobrych, aby Boga o łaskę prosili. Bar Noemi ze smutkiem patrzył na tę szaloną radość, na ten lud zuchwale pędzący w przepaść i z goryczą w sercu wyrzekł takie przekleństwo: — Wszystko co ludziom jest miłym, niechaj wam straszliwym będzie, słodycz niech będzie goryczą, pokarm i napój — trucizną, sen niech wam będzie zmorą; tam gdzie szukacie wesela, znajdziecie cierpienie; z pocałunków niech wam trąd się wywiąże; uśmiechnięta twarz niech się wykrzywi boleśnie; każda rozkosz niech w was odrazę budzi, A gdy minęło dni siedm i mgły się rozproszyły, mieszkańcy Oceanii przerażili się, spoglądając na siebie. Wrzody i trąd obsypały im twarz, nosy i wargi popuchły, włos powypadał, ciało się zgięło. Sam Bóg złamał postać tych, których żałował, że stworzył.

Niebo zaś, które tę część świata pokrywało, było nadzwyczaj ponure i żółte.

Zniknął błękit, zniknęła promiennność słońca. Można było na tem sklepieniu burem

obliczyć fałdy, jakie układały chmury.

Ale nie było jeszcze dość kary.

Nie miał wszak przyczyny jeden człowiek, aby śmiać się z drugiego. Wszyscy byli

jednakowo brzydcy, wszyscy jednakowo straszni — a jednak szyderstwo było jeszcze

głośniejsze, śmiech jeszcze wstrętniejszy.

Zwierzęta domowe nie poznawały swych panów i nagle te oswojone, przyzwyczajone

do miejsca istoty, gromadami opuszczając poczęły miasto i jakby smutku pełne,

ruszyły w góry. Psy i małe śpiewne żółte ptaszki uszły na śnieżne wierzchołki.

Jakby zmówiły się ze sobą, psy nie szczekały, ptaki nie śpiewały, aby opuszczeni

gospodarze nie pogonili za niemi.

Miejsce ich zajęły kruki i wilki. Grobowe te zwierzęta, niby za wspólną zgodą,

postanowiły podzielić się ciałem ludzkim.

Bar Noemi po raz ósmy podniósł klnącą swą rękę i smutnym głosem powiedział:

— Niech będzie śmierć!...

I przyszedł wezwany anioł, straszny anioł Malach-Hamowez, z płomiennym w ręku

mieczem, którym tłumy przebija, przed którym ani wysoko, ani nisko nic się nie

ukryje i rozpoczął swoją okropną pracę od najmniejszych istot.

Jeden dzień minął i znikł wszelki owad z powierzchni ziemi, tak, jakby nagle

nastąpiła jesień, która ich zabija.

Nazajutrz węże i jaszczurki wybiegły ze swych jaskiń, aby zginąć wśród dnia

jasnego u wrót przeklętego miasta.

Na trzeci dzień spadły, z powietrza skrzydlaki, w konwulsjach zwały się z

dachów na ziemię, ulice zaległy gni-

jącymi ciałami. Wilki z przerażeniem ujrzały, jak ich towarzysze — kruki

umierają, ale nie miały dość odwagi, aby przy ich trupach pozostać, tylko uszły

ku bramom i smutne patrzyły w okóło, jakby pytając człowieka: Czyż nikt tu nie

pomoże?

Czwartego dnia pozdychały te drapieżne czworonogi, padając przed domami ludzi.

Nikt nie pozostał na ziemi, prócz człowieka i potworów dawnego świata.

Ale i to jeszcze ich nie opamiętało, nie przerażili się, że są sami na świecie z

temi potworami. Wszystkie istoty pomały, tylko oni i bałwany ich pozostały.

Był jeszcze czas, nie spełniły się dni. Nie wyrzekł jeszcze nad nimi Bóg

najstraszliwszego wyroku. Czekali go.

Krwawy anioł śmierci rozpoczął swą robotę nad ludźmi. Jakaś
przerażająca choroba
szła z miast do miast, ludzie padali bezpomocni, bezsilni.
Krótkie były chwile
ich życia: dziś dumny młodzian, jutro blada, bezduszna mara.
Mogił było więcej
niż domów i miejsca brakło, aby umarłych pochować. —
Biada! biada! grzmiało po
całej ziemi. Z kraju do kraju szedł płacz i jęki. Ludzie ze
drżeniem w prochu
się kładli.
Dlaczego w prochu? Czyż w prochu mieszka Pan? Czyż nie w
niebie szukać go
należy? Ach! nigdy oni tam nie spoglądali, mieli tylko
wykutyh. z kamienia
bałwanów i mówili: Oto nasi Bogowie. Myśmy ich sami
stworzyli
I nikt nie miał dość odwagi, aby im wyrzec: zrzucicie precz z
ołtarzy te ziemskie
dziwotwory, które są prochem najędzniejszym; zróbcie
miejsce Bogu, który
jedynym jest Panem.
Zamiast tego w sercach mieszkańców zapanował strach i
przerażenie i z gniewem
biedz poczęli ku drzewu oliwnemu i rzucali w Bar Noemiego
zatrute strzały,
wszelkie nań posyłając przekleństwa.

— Ośm klęsk nie poprawiło ludu! Niech klęska dziewiąta go
dotknie! — zawołał
wysłaniec gniewu bożego i uderzył nogą w twardą ziemię.

I drzeć poczęła w swych posadach twarda ziemia. Naprzód
jęczenie jej zdawało się
niby szum oddalony, później jak turkot olbrzymiego wozu,
który pałace depcze i
przewraca.

O ziemio godna pożałowania!

Jakiś duch rozgniewany mieszka tam w głębiach i chce snadź
wyjrzeć na świat i

pokazać, że jest — więc porusza fundamenta ziemi, więc
drzeć zmusza góry i

przewraca świątynie-

Powierzchnia ziemi bałwani się jak wzburzone morze.

Najwyższe palmy koronami

swych liści całują twarz swej rodzicielki, a wieże i bastiony
chylą się u stóp

tych budowli, na których szczycie stały przedtem.

Któż zachowa złote pałace? Tysiące kolumn na prawo i na
lewo pęka i w kawałach

pada na ziemię. Dumna, złota kopuła wali się, gniotąc
mieszkańców. Olbrzymie

kamienie bram miejskich jedno od drugich oderwane, giną w
otwartej puszczy

wstrząsającego ducha głębin ziemskich. Śród ruin pałaców
leżą rozbite ruiny

mostów wiszących. W proch i czerepy zmieniło się to, co było
bogactwem i

wspaniałością.

W świątyniach zgromadzony lud wobec ruin i klęsk —
zapomnienia szuka — i w

podniecających sokach bachanaliów tajemnice rozkoszy
ostatniej połyka. Nagle lud

wspomniał o Trytonie, który był głową wszystkich bałwanów
i pobiegł szybko ku

jego świątyni.

Ośm ścian świątyni leży na ziemi pękniętych, odwieczny
bezmyślnie bałwan siedzi
na miejscu, z głowa ku ziemi spuszczoną. Siedzi na swym
tronie, nieruchomy jak

dawniej, tylko wielkie oczy poczęły drżeć zdziwione, że
nastąpił taki dzień
okropny.

Lud otoczył potwora wokoło i głowami bijąc o ziemię wołał:
— Pomóż, Trytonie!

Potwór uczył nagle pod swemi nogami drzenie ziemi i tam,
gdzie na lewej stronie
pod jego skórą łusko wata widziano zwykle powolne pukanie
serca, słyszeć się
dały silne uderzenia i potwór wstał z miejsca i wysoko
podniósłszy głowę,
wyglądał jak wieża nad tłumem.

Bałwochwalczy wołali z radością:

— Ha, Tryton powstał! Słuchajcie słów Trytona! Tryton
będzie walczyć przeciw
obcemu Bogu! Pokaż teraz tve oblicze cudzoziemski Boże i
zadrzyj przed Trytonem,
który ma sześć sążni wysokości a rękę silniejszą, niż piorun.
Te wyzywające okrzyki dobiegły pięciu sprawiedliwych ludzi
w ich namiocie. Wtedy
Bar Noemi namiot zwinął. Płaszcze włożyli na ramiona,
włócznie wzięli w ręce i
śmiało poszli, aby stanąć przed Trytonem w imieniu
wszechmocnego.

Tu zatrzymali ich kapłani i wyrzekli do nich:

— Oto powstał Tryton i podniósł wszechpotężną rękę i wnet
otworzy usta, z
których wyjdzie głos od gromu potężniejszy. Wy, obcy ludzie,
którzy klątwy
rzucacie, padnijcie przed nim w proch, albo czekajcie na jego
gniew, który
przeciw waszemu Bogu się obróci.
W sercu Bar Noemiego zapłonęły ognie nadludzkiego
natchnienia. W około niego
tłuszcza stutysięczna, przed nim stał bezkształtny, olbrzymi
potwór. I wyrzekł
do nich grzmiącym głosem:
— Nędzni ludzie! Niemasz dla was ani błogosławieństw, ani
klęsk! Ani złe, ani
dobre dni was nie poprawią. Najbrzydsze robaki ziemi! Oto
dziesiątą klęskę wam
zapewia-

dam, aby zniknął ten, do któregoście modlili się. —
Nieforemny potworze,
straszliwa istota, zegnij się przed imieniem tego, który cię z
prochu ułożył i
który cię na nowo w proch obróci. Stań się pastwą panów
ziemi — robaków!
Rzekłszy, podniósł swą potężną włócznię i skierował ją ku
potworowi.
Ze świstem przeleciała włócznia nad głowami kapłanów i
utkwiała po lewej stronie,
gdzie pod twardą łuskowatą skórą bije serce bałwana.
Przeraźliwym wyciem wykrzywił twarz swą Tryton, czarną
krwią z paszczy zionął i

ogonem bijąc o ziemię, deptał kopytami kamienie pod sobą.
Wobec pierwszego przerażenia ludu Bar Noemi i jego
towarzysze cofnęli się; a gdy
śród tłumu zrodziła się myśl, aby zabić zabójcę Trytona, Pan
wstrząsnął ziemią
między temi a tamtymi i wywołał błękitny ogień i dym
piekielny z głębi i
oddzielił jednych od drugich.
Pięciu mężów powróciło znów na jedenaście śnieżnych
wierzchołków gór. Bar
Noemiego czekała w domu wielka niespodzianka. Żona
urodziła mu syna, podobnego
do ojca i matki.
Wielka była z tego powodu radość wśród mieszkańców gór,
gdyż tą drogą Pan im
pokazał, że ziemia, na której urodziło się niewinne dziecko, nie
pójdzie na
zagładę.
Najstarszy wysłuchał z ust Bar Noemiego wszystkich zdarzeń
i klęsk Oceanyi.
Jedenaście śnieżnych wierzchołków nic z tego nie zaznały:
było tam ciepłe lato,
słońce jasno świeciło, powietrze było czyste, łąki zielone,
potoki wesole,
wszystkie zwierzęta i ptaki i owady radowały się życiem, na
drzewach i ziołach
kwitło błogosławieństwo. Starzec, usłyszawszy od pięciu ludzi
tak okropne
wieści, jaknajszybciej rozkazał, aby ci, co w dolinach
mieszkają wnet zebrali
swoje mienie, swoją odzież, swoje rodziny, swoje zwierzęta

i aby przenieśli się na wysokie góry i tu zbudowali chaty.
Niebo już samo
pomyśli o usunięciu śniegów i o zrobieniu miejsca dla drzew i
roślin, które
człowiek sieje którymi się karmi.
Tryton jeszcze trzy dni wił się w męczaraiach, zanim umarł,
kończąc swój
tysiącletni żywot. Trzy dni od gór do gór biegło jedno wycie
okropne, niby
piorun straszliwy, a na to wycie wyszły ze swych jaskiń
potwory pierwotnego
świata, których olbrzymie kości dzisiaj podziwiamy.
Wstrząśnięta ziemia zbudziła
ich z wiekowego snu i wyszły ciężkie, bezkształtne postacie
rogate, gałęziste,
ciemnym pancerzem pokryte — wyszły świat przerazić.
— Umarł bóg Tryton! Nie masz więcej Boga na ziemi wołali
rozradowani mieszkańcy
wyspy Szczęśliwej. Tylko na śniegach jeszcze Bóg pozostał!
Idźmy tam zabijmy go!
Niech przepadnie!
I we wściekłych rękach zabłysło tysiące mieczów, które Boga
znieść miały. I
pomieszały się z mierni dziwotworne ichtyozaurowi, mamuty,
megatherya, które kłębem
i rogiem drogę im ku śnieżystym góróm torowały.
Wniebo grzmiący ryk zahuczał nad daleką ziemią: wszystko
zdawało się zapadać,
nawet drzewa i trawy poczęły walczyć z niebem. Liście palm
zdrętwiały wzniosły
się ku górze jak miecze i wszystkie trawy stały prosto jak bez
życia, Rozdarły

się szczyty gór i nagle ich spokojne ciała poczęły zionąć promieniami, dymem i kamieniem ulatując ku niebu z bezbożnym grzmotem; ziemia w stu miejscach pękła, tworząc brudne moczary i wydzielając gazy zatrute; lasy zagorzały płomieniem, i krwawą barwą malowały niebo... Tylko śnieżne wierzchołki pozostały białe i spokojne. Kiedy buntownicze tłumy przeklętych ludzi i potwory starożytnego świata wrzawą napępiały tę ziemię, stanął na niebie ciężki, czarny, błyskawic i gromów pełny obłok, które-

go ryk zagłuszył ryk potworów i ludzi i który swemi płomiennymi strzałami roznosił śmierć na tłumy i bił ognistemi wężami trzy dni i trzy nocy.

Po drugiej stronie zamieszkały lud modlił się i chwałę Boga opiewał w cieniu swych chat spokojnych i zdaleka tylko słuchał okropnej wrzawy żywiołów.

Na trzeci dzień zamilkło wszystko.

Obłoki rozplynęły się w powietrzu, a gdy mieszkańcy gór o świcie wyszli ze swych chat, ujrzeli naokoło siebie gładką równinę morza. Ciche, nieme zwierciadło wód na dalekim horyzoncie łączyło się z pustą równiną niebios... Góry, doliny, ziemię, gdzie były? gdzie znikły? Jedenaście wierzchołków gór wytworzyło

jedenaście wysp. Razem z całą tą ziemią spokojnie pogrążyli się więcej niż na tysiąc stóp w głębiny morskie. Ciepłe powietrze niższych warstw atmosfery rostopiło śniegi wieczyste i zrodziło nowe życie i nowe zboże. Na najpierwszej czystej glebie, która tak powstała, na chwałę Boga, na wyzwolenia pamiątkę, zasadził Bar Noemi lipę, pod której cieniem zbudował chatę, a im bardziej rozkwitał zielony namiot, tem liczniejszą była jego rodzina, tem większe błogosławieństwo Boże. Te jedenaście wierzchołków to wyspy Kanaryjskie. Z całej Oceanii tylko te góry zostały. Budowa ich i ich twory świadczą, że te wyspy są tylko resztką świata pogrążonego w wodzie. Późniejsze odkrycia z podziwem ujrzały, że na tych pozostałych wyspach mieszka lud osobliwy: postać jego piękniejsza, silniejsza, niż znane narody. Dusza jego czysta i cnotliwa; modli się do niewidzialnego Boga, w miłości jest dziewiczy, w żywocie umiarkowany, z losu swego zadowolony.

Umarłych balsamuje i w mogiłach składa, bo zmartwychstania oczekuje; zna sztukę i posiada pismo nie podobne do innych. Na tych wyspach, obok cichych i szczęśliwych ludzi są dwaj mieszkańcy: psy i żółte wróbelki.

Dziwna, że oba te rodzaje zwierząt na wyspach Archypelagu są nieme. Nie moglibyśmy tego rozwiązać, gdybyśmy nie wiedzieli o Oceanii. Gdy zaś ich ztąd unoszą, wnet im głos powraca. Małe ptaszki Kanaryjskie, tak łaskawe, miłe, wesołe śpiewaki — w ojczyźnie swoje są nieme. Dla nas znów potrafią "one śpiewać" tak pięknie, tak miłe, jak niegdyś w wielkiem mieście Trytona i nie jedno marzące serce słuchając ich pieśni, jakieś nieznane, niepojęte odczuwa wrażenie. Zasadzona przez Bar Noemiego lipa dziś jeszcze stoi na wyspie Ferro, którą uczeni uznają za pierwszy południk. Lipa ta ma sto sześćdziesiąt stóp obwodu, dwa tysiące lat życia liczy, pod jej cieniem Cały naród odpoczywa. Jak mówią podróżnicy, z gałęzi tego drzewa, sączy się para wodna i ochłodzona w kroplach pada na ziemię tak, że pozbawionej wody wyspie codziennie daje podostatkem. Mieszkańcy wyspy uważają ją za święte drzewo. Między Europą i nowym światem dziś jest pusta bezbrzeżna równina morska. Nic nie świadczy, że była tu kiedyś cała, oddzielna część świata. Platon ją opisał, Solon wyśpiewywał, arabskie powieści o niej mówiły, Kartagińczycy zakazali mówić o niej, lecz prawdę wszyscy wiedzieli. Dziś żagle płyną po niej. Lecz nieraz, gdy cichy wiatr powiewa, gdy rozsmętniona

przyroda marzy o przeszłości, pod wpływem ciepła stają przed
oczyma marynarza
dziwne, cudowne miraże: na błękitnym horyzoncie pokazują
się obrazy miast

pałaców, z wieżami połyskującymi na dachach, z palmowemi,
lasami w około.

Urocze, olbrzymie tworyh któryc nigdzie na świecie nie
widać, śmiało unoszą się
po nad nieskończoną przestrzenią i bawią się, błyszczą i
weselą, póki zmieniony
wiatr ich nie rozproszy i tęskniący żeglarz nie ujrzy naokoło
nic prócz
nieskończonego morza...

KONIEC.